

Sandra Field

Kobieta o zielonych oczach

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Miała to miejsce tylko dla siebie.

Bosko, pomyślała Julie z błogim westchnieniem. Nadbrzeżne skały i słony zapach morskiego powietrza – to było to, za czym najbardziej tęskniła w dalekich krajach.

Fala uderzała o pomost. Julie zdjęła sandały i, nie dbając o sukienkę, usiadła na gołych deskach. Zanurzysz stopy w wodzie, pisnęła z wrażenia; woda była lodowata.

A czego mogła się spodziewać? W końcu to stan Maine, a nie Floryda, i był dopiero czerwiec. Pomachała energicznie nogami, patrząc, jak złote światło wczesnego wieczoru pełza po spienionej fali. Znów była w domu. Z pewnością nie na długo, i z niezbyt radosnego powodu, ale jednak w domu.

Czekał ją weekend na wyspie Manatuck, której właścicielem był Charles Strathern. Jego syn Brent zaprosił ją na jutrzejsze przyjęcie z okazji sześćdziesiątych urodzin Charlesa.

Wyszła z pracy później, niż planowała, i zanim dotarła z Portland w to bezludne miejsce nad oceanem, łódź, która miała zabrać na wyspę ją i kilka osób z firmy organizującej bankiet, odpłynęła bez niej. Teraz ta łódź musiała wrócić specjalnie po nią.

Powinna mieć wyrzuty sumienia. Ale nie miała.

Jeszcze raz zamoczyła stopy, mając nadzieję, że Charles Strathern ma w Castlereigh, swojej rezydencji na Manatuck, ogrzewany basen. Brent dał jej jasno do zrozumienia, że jego ojciec jest bardzo bogaty, co powinno sugerować, że również Brentowi powodzi się lepiej niż dobrze.

Julie westchnęła. Brent był przystojny, uroczy i lubił korzystać z życia. A to oznaczało, że wcześniej czy później będzie zmuszona ostudzić jego zapędy. Jej naturalna skłonność do ryzyka – bez której nie spędziłaby kilku ostatnich lat życia w dalekich krajach, nie zawsze słynących z komfortu i bezpieczeństwa – nie obejmowała seksu. Ani małżeństwa, rzecz jasna.

Uznała jednak, że przez jeden weekend, w otoczeniu rodziny Brenta, będzie całkiem bezpieczna.

Odwróciła gwałtownie głowę, wyęzając słuch. Co to za dźwięk? Jakiś samochód? Nie miała ochoty na towarzysstwo. Nie teraz. Oliver, kapitan łodzi, całkiem wyraźnie mówił, że była w ten piątek jedynym oczekiwanym gościem.

Zgrzyt opon na zwirowej drodze stawał się coraz głośniejszy. Julie przewróciła oczami, modląc się, żeby nieznaną intruz zatrzymał się przy ostatnim domu, jakies pół kilometra przed przystanią. Żeby zatrzymał się gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Żeby nie zakłócił jej spokoju.

Travis zdjął nogę z gazu, kiedy jego czarne porsche wpadło w poślizg. Jechał za szybko. Częściowo dlatego, że dotarł tu później, niż chciał. Wyszedłby ze szpitala wcześniej, gdyby nie nagły przypadek na intensywnej terapii,

który skończył się pomyślnie dla pacjenta, ale jemu pokrzyżował plany.

Spóźnienie nie było jedynym powodem zbyt szybkiej jazdy. Drugim był stan jego nerwów. Wykrzywił usta w posepnym uśmiechu. O tej porze w piątek, w piękny czerwcowy dzień, zamiast żeglować po zatoce Penobscot albo pójść do opery z pielęgniarką o powłóczystym spojrzeniu, pędził do tego jednego miejsca na świecie, gdzie miał zagwarantowane jak najgorsze przyjęcie.

Jeszcze pół kilometra do przystani, z której chciał zadzwonić do Olivera i poprosić, żeby wysłał po niego łódź. Z zaciśniętymi zębami powtarzał sobie, że jak tylko znajdzie się na wyspie, nie uda im się odprawić go z powrotem. A jeśli spróbują, urządzi im prawdziwe piekło.

Przez otwarte okno wyczuł zapach żywicy świerkowej zmieszany z ostrym podmuchem oceanu. Wciągnął powietrze głęboko w płuca i przez moment znów był małym chłopcem włóczącym się po skalistym wybrzeżu wyspy Manatuck. Szczęśliwym. Nie znającym strachu. Nie przeczuwającym tego, co miało nadejść.

Nie tylko rodzina była celem jego powrotu. Również wyspa. Przypuszczał, że z nich dwóch to wyspa stanowiła zadrę, która najboleśniej jątrzyła stare rany.

Za ostatnim zakrętem oczom Trávisa ukazała się błękitna zatoka usiana soczyście zielonymi wyspami. Każdą z nich okalał biały kołnierz piany. Ścisnęło go w gardle. Przez kilka ostatnich lat, harując jak wół, próbował zdławić w sobie poczucie żalu i pustki, które nazywa się powszechnie tęsknotą za domem.

Wcisnął hamulec. Ktoś siedział na pomoście.

Zmrużył oczy. Jakaś nastolatka z jednego z pobliskich

domów letniskowych? Niech to szlag, nie potrzebował towarzystwa. Jak nigdy w życiu chciał być sam.

To była kobieta. Musiała przyjechać niebieskim samochodem zaparkowanym przy drodze nad zejściem do brzegu. Travis zatrzymał się za niebieskim sedanem, który miał znak wypożyczalni samochodów na tylnym zderzaku. Wysiadł, zatrzasnął drzwi i ruszył w dół zbocza w stronę pomostu. W tym samym momencie kobieta wstała.

Musiał się jej pozbyć jak najszybciej i skontaktować z Oliverem.

Ponieważ miał słońce za sobą, widział ją w miękkim, rozproszonym świetle. Zwolnił kroku. Jak mógł ją wziąć za młodą dziewczynę? Była w kwiecistej sukience z rozkloszowanym dołem i obcisłą górą na wąskich ramiączkach. Miała krótkie ciemne włosy, które podkreślały smukłość jej szyi, i wyraziste brwi.

Była niewiarygodnie piękna.

Zauważył, że wygląda na równie niezadowoloną z tego spotkania jak on. Odezwała się pierwsza, w sposób, który sprawił go w irytację.

– Dzień dobry. Zabłądził pan? Ta droga kończy się tutaj. Do Barlett Cove trzeba skręcić pół kilometra wcześniej.

– Nie zabłądziłem – odpowiedział szorstko. – Ale pani wkroczyła na teren prywatny, który należy do właściciela wyspy Manatuck.

– Właśnie tam się wybieram.

– Tak? Przyjęcie jest jutro. Nie pomyliły się pani dni?

– Nie.

Utkwił wzrok w jej zielonych oczach. To nie mógł być ich prawdziwy kolor, pomyślał. Oczy w kolorze głębokiej

szmaragdowej zieleni zdarzają się niezwykle rzadko. Poza tym była dużo niższa od niego. Dlaczego, skoro zwykle pociągały go duże ciepłe blondynki, nagle zapalił się do brunetki, która sprawiała wrażenie równie ciepłej jak ocean w styczniu?

Pożerał ją wzrokiem jak dzikus, zupełnie nad tym nie panując. Co go, do diabła, naszło?

Rusz głową, Travis.

– Niech zgadnę – powiedział łagodnie. – Przyjechała pani wcześniej, bo jest pani umówiona z Brentem.

– Skąd pan wie?

– Brent zawsze miał słabość do kobiet o fantastycznych ciałach i więcej niż ładnych buziach.

– Ciekawe, dlaczego podwójnie skomplementowana, czuję się, jakbym została obrażona?

Nagle wiatr podniósł jej sukienkę, odstaniając prawie całe uda. Kiedy Julie złapała ją i przytrzymała przy nogach, Travis zapytał zmienionym głosem:

– Pani oczy... nosi pani kolorowe szkła kontaktowe?

Nie miał zamiaru pytać o tak osobistą sprawę, a jednak był wściekły, kiedy zlekceważyła jego pytanie.

– Pan też wybiera się do Manatuck?

– Owszem.

– A z kim pan jest umówiony?

– Och, ja tu jestem na własną rękę. Do nikogo nie należę. To wbrew moim zasadom.

– Przypadkiem podzielam tę zasadę.

– Wątpię. Jeśli cokolwiek łączy panią z Brentem.

– „Cokolwiek” oznacza... – zaczęła, ale natychmiast się zreflektowała. Dlaczego miałyby się tłumaczyć przed kompletnie obcym człowiekiem?

Zaśmiał się krótko.

– Cieszę się, że nie dokończyła pani zdania. Brent ma ustaloną reputację.

– Nie zapytam, czy jest pan jego przyjacielem. Na pewno nie.

– Ma pani absolutną rację.

Głęboka gorycz jego słów zaszokowała Julie; nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo jest spięty. Jak gdyby lada moment miał wybuchnąć, pomyślała nerwowo, i po raz pierwszy pożałowała, że to miejsce jest takie bezludne. Poza nimi ani jednej żywej duszy w zasięgu wzroku, a do najbliższego domu dobre pół kilometra.

Zwykle niełatwo było ją wystraszyć. Zbyt wiele razy w życiu musiała polegać wyłącznie na własnej pomysłowości, żeby wybrnąć z groźnej sytuacji. Zresztą to było Maine. Nie Lima ani Dar es-Salaam, ani Kalkuta.

Kiedy schodził ku niej ze zbocza, poruszał się z nieuświadomioną gracją tygrysa, którego miała szczęście wypatrzeć na bagnach namorzynowych w Bengalu Zachodnim. Tygrysy mają swój wdzięk. Są też niebezpieczne i mają ostre kły.

Weź się w garść, powiedziała sobie. Miała w zanadru kilka sprawdzonych sztuczek, gdyby naprawdę była zmuszona się bronić. Wyciągnęła do niego rękę w przyjacielskim geście.

– Mam na imię Julie. Julie Renshaw.

Z wyraźnym ociąganiem Travis uścisnął jej dłoń.

– Travis Strathern.

– Jesteś kuzynem Brenta?

– Nie – odpowiedział krótko, nawet nie siląc się na grzeczny ton.

– Pozwól, że będę szczera. Naprawdę dobrze było mi tu samej, i widać, że ty też nie jesteś spragniony towarzystwa. Ale musimy poczekać na łódź i razem dopłynąć na wyspę. Może moglibyśmy przynajmniej porozmawiać o pogodzie? Która, musisz przyznać, jest naprawdę piękna.

– Jeśli uważasz, że piękny jest zachód słońca, powinnaś zobaczyć, jak tutaj słońce wschodzi. Jak wynurza się z mgły wiszącej nad wodą... – powiedział nieopatrnie.

Na moment jego myśli zabłądziły w przeszłość.

– Więc musiałeś bywać tu wcześniej. Jeśli nazywałeś się Strathern, to dziwne, że nie wiedzą o twoim przyjeździe. Oliver powiedział, że jestem dzisiaj jedynym oczekiwanym gościem.

Nie wiedzieli, że przyjedzie, bo im nie powiedział. Proste.

– Musiało nastąpić jakieś nieporozumienie.

Nie umie kłamać, pomyślała Julie. Ale po co się wysiła na kłamstwa wobec całkiem obcej osoby?

– Często odwiedzasz Manatuck?

– Jestem tu po raz pierwszy od wielu lat – powiedział krótko. – Jak poznałaś Brenta?

– Przez wspólnych znajomych. Spotkaliśmy się tylko kilka razy. Ale zawsze chciałam pobyć na jednej z wysp, więc przyznam, że skorzystałam z nadarzającej się okazji.

Ku swojemu przerażeniu Travis zapytał bez zastanowienia:

– Więc nie jesteś kochanką Brenta?

– Chyba nie chciałaś zadać tego pytania – powiedziała chłodno.

Była o wiele za bystra jak na jego gust.

– Masz rację, to nie było właściwe pytanie. Powinienem być zapytać, czy twoje oczy są naprawdę tak zielone.

– Dlaczego interesuje cię kolor moich oczu? – Pomyślała z furją, że jeśli jej oczy są „tak” zielone, to jego są niesamowicie błękitne, ale równie nieprzeniknione jak powierzchnia oceanu.

– Tak sobie. Powiedzmy, że z pustej ciekawości.

– Myślę, że ty niczego nie robisz tak sobie – powiedziała oschle. – Więc jeśli nie jesteś kuzynem Brenta, to kim?

– Może jego starszym bratem?

– A może stryjem? – zakpiła. – Brent nigdy nie wspominał, że ma brata.

– Tego jestem pewien. A może mi powiesz, jaki jest prawdziwy kolor twoich oczu?

Julie przyglądała mu się z namysłem. Była realistką i wiedziała, jakie wrażenie robią na mężczyznach jej oczy. Zresztą nie tylko oczy. Kilka lat temu obcięła włosy, częściowo dlatego, że w Afryce i w Indiach jest bardzo gorąco, ale i dlatego, że przeczytała w jakimś piśmie, że widok kobiety z włosami do pasa zmienia mężczyzn w lubieżnych idiotów. Zupełnie niespodziewanie zaczęła się śmiać.

– Nie używam szkieł kontaktowych, ani zielonych, ani żadnych innych. Mam sokoli wzrok. Chciałbyś wiedzieć coś więcej? Moja matka zawsze mówiła, że jestem uparta. Ale w konkurencji z tobą jestem zwykłym amatorem.

Nawet nikły uśmiech ogromnie zmieniał jego twarz. Wydatny nos, wyraźnie zarysowane usta i mocna szczęka były takie same, podobnie jak niesforne ciemne włosy;

ale uśmiech ożywił jego rysy, przydając mu jakiegoś niezwykłego czaru. Męska energia, pomyślała w oszołomieniu Julie, jest tym, co go napędza. Potężna, imponująca, charyzmatyczna energia.

Bezwiednie cofnęła się o krok, mówiąc słabym głosem, jakby brakowało jej tchu.

– Poznałam sporo mężczyzn, wielu z nich bardzo atrakcyjnych. Ale ty, muszę przyznać, bijesz ich wszystkich na głowę.

– Dobra strategia – odparował ironicznie, choć nie od razu. – Czy teraz poprosisz mnie o numer telefonu? Brent nie będzie zachwycony.

– Wyglądasz na takiego, co opęda się od kobiet. Tylko nie mów, że to nieprawda, bo i tak ci nie uwierzę.

– Prawda. Mówiłem ci, że do nikogo nie należę.

– Ja też nie. I to dotyczy również Brenta.

Błysk wściekłości usunął resztki uśmiechu z twarzy Tralisa. Brent, chyba że Travis bardzo się mylił, był tym, który przypieczętował jego wygnanie z Manatuck. Czy dlatego nie mógł znieść myśli, że Julie Renshaw jest kochanką Brenta? Ale przecież on tę kobietę dopiero poznał...

– Dam ci pewną radę – powiedział obcesowo. – Trzymaj Brenta na dystans podczas tego weekendu. Dla własnego dobra.

– Ty go nienawidzisz, prawda?

– Nie! Ale nie chciałbym widzieć, jak tracisz grunt pod nogami.

Za późno, pomyślała w przebłysku humoru. Dziesięć minut w towarzystwie Tralisa i czuła, że już straciła grunt pod nogami.

– Nie mam zamiaru... Och, jest łódź.

Elegancka łódź motorowa właśnie się wyłoniła zza najbliższej wyspy. Travis odwrócił gwałtownie głowę i cały stężał. Julie gapiała się na niego, pewna, że w jednej sekundzie kompletnie zapomniał o jej istnieniu. Jakby szykował się do jakiejś ciężkiej próby. Jakby to, co go tu sprowadziło, miało wymagać całej odwagi i odporności, jaką miał.

Intuicja jej mówiła, że nie brakowało mu ani jednego, ani drugiego.

Opuściła wzrok. Obie dłonie miał zaciśnięte w pięści. Ze współczuciem, przez które nieraz wpadała w tarapaty, dotknęła jego ramienia.

– Tu się dzieje coś bardzo niedobrego, prawda? Powiesz mi, o co chodzi? Może mogłabym pomóc.

Travis oderwał wzrok od łodzi: tej samej łodzi, na której w wieku lat szesnastu opuścił wyspę.

– Czy mogłabyś pilnować własnych spraw? – odpowiedział lodowato.

Wzdrygnęła się, cofając rękę.

– W porządku. Nie było pytania.

Travis zacisnął szczęki. Nie potrzebował pomocy. Od nikogo. Odkąd po raz pierwszy, jako sześciolatek, został wygnany z wyspy, radził sobie sam. I żadna kobieta, choćby najpiękniejsza, nie mogła tego zmienić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Travis wpatrywał się w morze, w punkt, w którym zachodzące słońce odbijało się od wypolerowanego dziobu łodzi. Łódź, bez polotu, została nazwana „Manatuck” od nazwy wyspy. Charles nie mógł nadać łodzi imienia kobiety; mimo dwóch małżeństw Charles Strathern nie miał wielkiej sympatii dla kobiet.

I jeszcze mniej sympatii dla swojego starszego syna.

Podobnie jak dla jedynej córki. Travis już wiedział, że Jenessa nie przyjedzie na urodziny ojca.

Kiedy łódź była na tyle blisko, że rozpoznał potężną sylwetkę Olivera, odwrócił się wolno i ruszył do samochodu.

– Możemy zejść na pomost – powiedział, mijając Julie, która czekała przy swoim sedanie.

Skinęła głową i zaczęła schodzić w dół. Jej biodra kołysały się z wdziękiem; wąskie ramiona budziły w nim pragnienie namiętności. Do czego? Do resztek z uczyty Brenta?

Ostatni raz widział Brenta osiemnaście lat temu. Na początku dwukrotnie usiłował się z nim zobaczyć, ale za pierwszym i drugim razem Brent odwołał spotkanie w ostatniej chwili, więc Travis zaprzestał prób. Poprzez wspólnych znajomych dochodziły do niego różne wieści, głównie o rozrzutności brata i armii kobiet, które zmieniał jak rękawiczki.

Z których ostatnią była Julie Renshaw.

Klnąc pod nosem, rzucił na pomost torbę i czekał, aż Oliver przycumuje łódź.

– Panicz Travis? Czy mnie oczy nie mylą?

– Oliver... jak się masz? – Wzruszenie ścisnęło mu gardło. – Tak się cieszę, że cię widzę. Ale koniec z tym „paniczem”. Wystarczy Travis.

– Nie powiedzieli mi, że przyjeżdżasz. Do diabła, chłopcze, nie masz pojęcia, jak się cieszę!

Oliver był prawie łysy, zauważył Travis, i nabrał przez te lata dobre dwadzieścia kilo wagi.

– Nie wiedzą, że przyjeżdżam – powiedział zimno. – To niespodzianka. Czy to nie ta sama koszula, którą miałeś na sobie w dniu, kiedy stąd wyjeżdżałem?

– Nie może być... Tamta by się zdarła przez tyle lat. Ale pewnie się utyłałem przy obiedzie.

– „Manatuck” wygląda jak nowa. – Travis uśmiechnął się, trochę mniej spięty.

– Starzeje się lepiej ode mnie. Wskakuj na pokład, będzie jak za starych czasów.

Nie, nie będzie, pomyślał Travis. Doświadczył na własnej skórze, że nie ma powrotu do starych czasów. Odwrócił się do Julie, która stała w milczeniu za jego plecami.

– To jest Julie Renshaw. Znajoma Brenta.

– Ach tak. – Oliver zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem. – Proszę podać pani torbę i odpływamy. Muszę wyjść z kanału, zanim zacznie się odpływ.

– Poradzę sobie sama. – Julie podała torbę Oliverowi i zwinnie wskoczyła na pokład. – Dzień dobry, Oliverze... miło cię poznać.

Oliver uśmiechnął się, odsłaniając szeroką przerwę między zębami.

- Pan Brent przyjechał wczoraj. Śliczna z pani kobieta.
- Dziękuję. – Julie zarumieniała się.

Kiedy Oliver odcumował łódź i uruchomił silnik, Julie stanęła przy relingu – tak, żeby mieć widok na zatokę, a jednocześnie kątem oka obserwować Trávisa i Olivera. Jeśli Oliver lubił Trávisa, to Travis nie mógł być całkiem zły. Ale z jego powrotem związana była jakaś tajemnica; nikt się go nie spodziewał, a ona przysięgłaby, że gdy spytała Brenta, czy ma jakieś rodzeństwo, powiedział, że nie.

Wyglądało na to, że jej weekend zapowiada się ciekawiej, niż myślała. Nawet zbyt ciekawie. Travis wszedł na pokład z rozwianymi włosami. Zerknęła ukradkiem na jego barczyste ramiona, wąskie biodra i czuła, że ma nogi jak z waty. Brent, teoretycznie przystojniejszy i z pewnością bardziej przyjazny w obyciu, nie działał na nią w ten sposób. Co zresztą nie miało znaczenia, bo nie szukała kochanka, a już zdecydowanie nie szukała męża.

Zatoka była lekko wzburzona. Julie, trzymając się relingu, podeszła bliżej dziobu i próbowała zgadnąć, która z wysp jest ich celem. Kwadrans później nie miała wątpliwości. Na wyspie o najbardziej poszarpanych, klifowych brzegach cztery kamienne wieżyczki przebijały postrzępioną linię świerkowych lasów. Twierdza, pomyślała, chichocząc w duchu. Z bliższej odległości dostrzegła kamienny hangar dla łodzi, dwukrotnie większy od bungalowu jej rodziców, i długi, wcinający się w wyspę, pomost cumowniczy. Była też równiutka piaszczysta plaża i ogromna połać strzyżonego trawnika.

Gdy Oliver przybił do nabrzeża, Travis wyskoczył

z łodzi i zawiązał cumy. Potem z nieprzeniknionym wyrazem twarzy podał rękę Julie, konsekwentnie unikając jej wzroku.

– Do jutra. – Oliver wyjął z łodzi bagaże. – Dobrze, że wróciłeś tu, gdzie twoje miejsce.

Travis nie miał pojęcia, gdzie było jego miejsce, ale podejrzewał, że nie tutaj.

– Dziękuję, Oliverze. – Podniósł obie torby i zwrócił się do Julie. – Chodźmy.

Z wściekłym zapałem wspinał się po długich drewnianych schodach, a Julie truchtała za nim wzdłuż gąszczu rododendronów i azalii. Potem minęli wielki, regularny ogród różany, jakiego nie powstydziliby się Wersal, ale zdecydowanie nie pasujący do tego miejsca. Kiedy okrążyli zagajnik brzozy, Julie stanęła jak wryta.

– No, no – mruknęła.

– Zapało ci dech z wrażenia? – spytał kpiąco Travis.

Zlepek najróżniejszych krenelaży, łuków i portyków wieńczyły cztery wieżyczki, które widziała z łodzi. Był nawet fragment fosy.

– Imponujące, nie da się ukryć – powiedziała niepewnie.

– To szkaradny pomnik tryumfu pieniędzy i egotyzmu nad poczuciem smaku. A nie wiesz, co jest w środku.

– Chcesz powiedzieć, że jest tego więcej?

– Wszystko, co można kupić za wszechmocne dolary.

Z ulgą zauważyła, że był trochę mniej spięty. Chociaż dlaczego miałby ją obchodzić stan jego emocji?

– To główne wejście do zamku? – spytała. – Może powinnam się tu zjawić na śnieżnobiałym rumaku?

– Zbroja by się przydała – powiedział z nutą goryczy. – Chodź.

Travis pociągnął sznur dzwonka i otworzył jedno skrzydło ogromnych, zdobionych kutym żelazem drzwi. Wiekowy kamerdyner zmierzał ku nim przez hol wejściowy.

– Panicz Travis... – powiedział, chwytając poły czarnego fraka na wysokości serca. – Och, paniczu... jak to dobrze znów pana widzieć, sir. Tyle lat...

– Witaj, Bertramie. – Travis uściśnął mu rękę. – Pomyślałem sobie, że zrobię rodzinie niespodziankę. A jak się miewa twoja rodzina?

– Znakomicie, dziękuję. Peg tak się ucieszy, kiedy jej powiem, że pan przyjechał. W salonie podają koktajle, sir. Czy mam pana zaanonsować?

– Bądź tak uprzejmy. To jest Julie Renshaw, znajoma Brenta.

Bertram skinął grzecznie głową i poprowadził ich do wnętrza zamku. Minąwszy makabryczną ekspozycję średniowiecznej broni, podążyli imponującym korytarzem obwieszonym portretami; żadna z uwiecznionych na nich twarzy, zauważyła Julie, nie wyglądała na zadowoloną z faktu, że ozdabia ściany Castlereigh. Travis, sądząc po jego minie, też nie czuł się tam najlepiej.

Kiedy Bertram otworzył przed nimi szerokie drzwi salonu, Travis wziął Julie za rękę.

– Panna Julie Renshaw i pan Travis Strathern.

Troje ludzi siedziało na skórzanych sofach w pokoju, który przytłaczał ich swoim ogromem. Pierwszym wrażeniem Julie był nadmiar marmuru i ałasu oraz dywany wielkości boiska sportowego; drugim – reakcje tych trzech osób na widok Trávisa.

Brent poderwał się na nogi. Jawna, nieprzejednana nienawiść wykrzywiła mu twarz. Był tak niepodobny do przystojnego, beztroskiego Brenta, którego znała, że Julie ścierpła skóra. Starszy mężczyzna, który musiał być Charlesem Strathernem, wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Mina kobiety, nienagannie zadbanej i elegancznej, zdradzała konsternację połączoną z niesmakiem. Macocha Brenta, domyśliła się Julie, obserwując, jak uprzejme maski na ich twarzach pokrywają pierwsze instynktowne reakcje.

Brent podszedł do niej z jasnym uśmiechem – przysięgłaby, że szczerym, gdyby nie ta nienawiść, której na pewno sobie nie wydumała.

– Julie! Jak pięknie wyglądasz. – Ujął jej ramiona i nim zdążyła zrobić unik, pocałował ją w usta.

Wywineła się Brentowi, ledwie się powstrzymując od wytarcia dłonią warg.

– Cześć, Brent. Przepraszam za spóźnienie, ale na szczęście zabrałam się na łódź z Travisem.

– Ach tak... z moim długo nie widzianym bratem. Pojawiłeś się jako urodzinowa niespodzianka, Travis?

– Tak, pomyślałem, że zrobię niespodziankę wam wszystkim.

– Miło jest odnieść tak natychmiastowy sukces – powiedział gładko Brent. – Nie zapomnij powiedzieć tacie, że się nie postarzał – dodał, odwracając się do ojca, żeby ogarnąć go swoim promiennym uśmiechem.

Dlaczego nigdy dotąd jej nie uderzyło, jak agresywny jest ten uśmiech?

Charles Strathern podszedł do nich. Był wysokim mężczyzną o rudosiwych, zaczesanych do tyłu włosach.

Na początku przerażony, całkowicie odzyskał nad sobą kontrolę i, nie próbując nawet uściskać Trávisa czy choćby podać mu ręki, zmierzył go wzrokiem z góry na dół.

– Masz czas, żeby się przebrać do kolacji.

– Najpierw poproszę szkocką z lodem – powiedział spokojnie Travis, choć pewna nuta w jego głosie skłoniła Charlesa do spuszczenia oczu.

– Dobrze. Obsłuż się sam. Ale bądź uprzejmy przywitać się ze swoją macochą.

– Corinne. – Travis przemierzył salon z oszczędną gracją, jaką Julie zauważyła u niego już wcześniej. Pochylił się i musnął ustami jej policzek. – Świetnie wyglądasz.

– Dziękuję, Travis – powiedziała z chłodem, nie odwzajemniwszy jego gestu. – Zrób sobie drinka, a ja wezwę Bertrama, żeby przygotował dodatkowe nakrycie do kolacji.

Brent pociągnął za sobą Julie.

– Tato, Corinne, to jest Julie Renshaw. Julie, mój ojciec Charles Strathern i moja macocha, Corinne Strathern.

Julie wymieniła uściski dłoni, wymruczała zwyczajowe niedorzeczności i została postawiona przed wyborem drinka. Zdecydowała się na wódkę z sokiem pomarańczowym i zaczęła coś paplać na temat podróży łodzią i ogrodu różanego. Corinne zaproponowała jej zwiedzenie ogrodu następnego ranka, po czym Charles pokazał jej wiszący w salonie portret poprzedniego właściciela wyspy. Travis nie zabierał głosu.

Pół godziny później Julie była w swoim pokoju i miała piętnaście minut na przebranie się do kolacji. Jej jedynym pragnieniem było pobiec do Olivera i błagać go, żeby zawiózł ją z powrotem na ląd. Jak najszybciej.

Co, u licha, zrobił Travis, żeby zasłużyć sobie na tak wrogie przyjęcie? Zadowoleni z jego powrotu byli tylko Oliver i Bertram. Nikt z rodziny nie przywitał się z nim, nie zapytał, jak mu się wiedzie. Ani dlaczego wrócił.

Innym pytaniem, które nasuwało się w oczywisty sposób, było: dlaczego porzucił dom. Dlaczego, kiedy i w jaki sposób.

Mogła po prostu zapytać. Jasne, pomyślała ironicznie. Najlepszy sposób na wypełnienie towarzyskiego samobójstwa.

Julie wzięła szybki prysznic i przebrała się w białe jedwabne spodnie z długą tuniką. Założyła kolczyki z nefrytu, które kupiła na bazarze w Tanzanii, i nefrytowozielone sandały. Makijaż, przeciągnięcie grzebieniem włosów, i była gotowa.

Czekał ją bardzo długi wieczór.

Kiedy szła korytarzem w stronę okazałych rzeźbiomych schodów, otworzyły się drzwi innego pokoju.

– Zaczekaj, Julie, zejdziemy razem – odezwał się Travis. – Mogłabyś się tu zgubić.

Odwróciła się. Był w ciemnoszarym garniturze i w koszuli w prążki z jedwabnym krawatem; ale włosy miał nadal zmierzwiłone, a jego oczy zachowały ten intensywny, nieprzenikniony błękit. Serce zabiło jej mocniej. Nazwała go atrakcyjnym? Co za banalne słowo na określenie mężczyzny, z którego emanowała niesamowita energia złożona z inteligencji, siły woli i zwierzęcego wdzięku. Mężczyzny, który przyciągał ją jak magnes.

Co z pewnością czyniło go wyjątkowym. Zwykle była odporna na seksownych, charyzmatycznych mężczyzn. Unikała ich jak zarazy.

Zatrzymał się krok przed nią, taksując ją łagodnym, uważnym spojrzeniem.

– Bardzo elegancko – im prościej, tym lepiej, prawda? Coś, czego nie nauczyli się ani Charles, ani Corinne.

– Mam to traktować jako komplement?

– Nie podpuszczaj mnie, Julie.

– A jak inaczej mam się dowiedzieć, co myślisz?

– Powiem ci jedno: jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Ja? – W mało elegancki sposób otworzyła usta.

– Daj spokój, patrzysz czasem w lustro.

– Mam za szerokie usta i przekrzywiony nos.

– Lekko. Przesadna perfekcja nigdy mnie nie pociągała. – Przesunął palcem po jej policzku, zatrzymując się na moment przy samym kąciku ust. – Miałem ochotę to zrobić od chwili, kiedy się spotkaliśmy – powiedział niskim głosem.

Krew napłynęła jej do twarzy.

– Nie opowiadaj bajek. Kiedy się spotkaliśmy, byłeś wściekły, że nie możesz być sam. Co, po scenie powitalnej w salonie, mogę zrozumieć. Więc nie udawaj, proszę, że mój widok zrobił na tobie oszałamiające wrażenie.

– Musisz wiedzieć o mnie dwie rzeczy. Nie mam zwyczaju udawać. I jestem zdolny przeżywać różne emocje jednocześnie.

Czyż nie tak samo było z nią? Jeśli furie i pożądanie można nazwać emocjami, zawładnęły nią obie naraz.

– Spóźnimy się na kolację – powiedziała mało przekonującym głosem. – Grozi za to wtrącenie do lochów.

– W kajdanach. – Travis podał jej ramię. – Chodźmy.

To była prowokacja. Chodziło o to, żeby ona, sympatia Brenta, weszła do jadalni pod ramię z Travisem.

– Nie używaj mnie do rozgrywek ze swoim młodszym bratem.

– Nie zniżaj mnie do jego poziomu.

– Czy jest ktoś, kto wygrywa z tobą na słowa?

– Mam przeczucie, że tobie mogłoby się udać.

– Chciałabym podzielać to przeczucie – powiedziała, wsuwając mu dłoń pod ramię. – Travis, po co tu przyjechałeś? – wyrwało jej się, zanim ruszyli.

– Pora, żebym pogodził się z ojcem. Jego sześćdziesiąte urodziny wydają się równie dobrą okazją jak każda inna, żeby zrobić pierwszy krok.

– Jeżeli zależy ci na zgodzie, to czy nie byłoby lepiej, gdybyś uprzedził go, że przyjeżdżasz? Wyglądał na przeżalonego, kiedy cię zobaczył.

– Ty też to zauważyłaś? – Travis zmarszczył brwi. – Złość bym zrozumiał. Ale nie strach.

– A jeśli on nie chce się z tobą pogodzić?

– To po prostu będę musiał znaleźć sposób, żeby zechciał, prawda? I nie pytaj, dlaczego wyjechałem, bo ci nie powiem.

– Nie mogłeś wyrazić się jaśniej – odparła z szelmowskim uśmiechem. – Ta rozmowa będzie, jestem pewna, jedyną szczerą rozmową całego wieczoru.

– Co byś zrobiła, gdybym cię teraz pocałował?

Otworzyła szeroko oczy, łapiąc powietrze.

– Wezwałabym pomoc?

– W takim razie odłóżmy to na lepszą chwilę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kolacja była niekończącą się, wykwintną ucztą, podczas której Brent flirtował z Julie, Corinne opowiadała o osiemnastowiecznych ogrodach, a Charles i Travis mówili bardzo mało. Julie dowiedziała się dwóch rzeczy: że Travis jest lekarzem i że opuścił dom osiemnaście lat temu.

Niewiele, jak na dwie długie godziny, z których każda minuta kipiała aluzjami do rzeczy, o których się nie mówiło. Jak to w domu, pomyślała Julie z lekką paniką. Czy kiedykolwiek jej rodzice wyrażali słowami prawdziwe emocje, czy rozmawiali z autentycznej potrzeby? Nigdy. Dla nich również, jak dla Strathernów, zimna uprzejmość była sposobem na codzienne funkcjonowanie. To przez tę nieznośną uprzejmość ona też uciekła z domu, kiedy miała niecałe osiemnaście lat.

Około dziesiątej zaczęła boleć ją głowa, co wykorzystała jako wymówkę od pokolacyjnych drinków, które serwowano na kamiennym patio sąsiadującym z jadalnią. Kiedy Brent odprowadził ją do drzwi jadalni, zdołała zrobić unik, żeby swoim pocałunkiem na dobranoc trafił w jej policzek, a nie w usta.

– Śpij dobrze, kochanie – szepnęła namiętnie, zawieszając znacząco głos i wpijając się palcami w jej ramiona.

– Dziękuję... dobranoc wszystkim.

Prawie biegła po schodach, a gdy już znalazła się

w swoim pokoju, zamknęła drzwi na klucz. Brentowi nie spodobało się, że weszła do jadalni z Travisem pod ramię, i bała się, że mógłby w rewanżu złożyć jej niezapowiedzianą wizytę w środku nocy.

Przyjęcie od Brenta zaproszenia na weekend nie było najmądrzejszym posunięciem w jej życiu. Ale miała z nim dwie udane niezobowiązujące randki – na pierwszej zjedli kolację w restauracji i poszli do kina, na drugiej żeglowali po zatoce z dwiema innymi parami – więc weekend na wyspie z jego rodziną wydawał się bezpieczną propozycją. I może byłoby bezpiecznie, gdyby nie pojawił się Travis.

To Travis był niebezpieczny.

Przebrała się w nocną koszulę, nie mogąc przestać o nim myśleć. Kiedy miękka tkanina koszuli otarła się o jej sutki, zadrżała, wyobrażając sobie, jak by to było, gdyby dotykał jej nagich piersi. Miał długie, smukłe palce... Czy kiedykolwiek w życiu czuła tak przejmujący głód dotyku jakiegoś mężczyzny?

Nigdy. Absolutnie wszystkich mężczyzn, którzy pojawiali się na jej drodze, rozmyślnie i konsekwentnie trzymała na dystans. Dlaczego to nie działało z Travisem?

Z niecierpliwym westchnieniem podeszła do balkonu. Za dużo zjadła, przez to tak dziwnie się czuła. Ostrożnie otworzyła drzwi, wdychając zapach róż, które pięły się pod jej oknem.

Delikatny szum fal koił jej uszy; wschodzący księżyc płynął po rozgwieżdżonym niebie. Ale nagle usłyszała coś innego: skrzypienie krzeseł na kamiennej posadzce, i głosy. Znane jej głosy dochodzące z patio dwa piętra niżej. Znieruchomiała.

– Nie rozumiem, dlaczego nas nie ostrzegłeś, że przyjeżdżasz – mówił ze złością Charles.

– Bo wiedziałem, że mi powiesz, żebym nie przyjeżdżał.

– I nie pomyliłbyś się. Nie rozumiesz, że jutro wieczorem będą tu wszyscy moi przyjaciele? Że będziemy musieli wymyślić jakąś historyjkę, żeby wyjaśnić twoją obecność?

– Powiedz im prawdę, tato. Że przyjechałem, żeby się z tobą pogodzić.

– Chyba rozumiesz, że twój ojciec nie może tego zrobić – wtrąciła się Corinne. – Porzuciłeś nas osiemnaście lat temu, Travis. Nie spodziewaj się, że zostaniesz przyjęty, jak gdyby nic się nie stało.

– Porzucenie bywa wzajemne, Corinne.

– Nonsens! Zawsze miałeś tu dom.

– Jak tylko umarła moja matka, zostałem wysłany do szkoły z internatem. Przez pierwsze dwa lata nie pozwolono mi nawet przyjeżdżać na wakacje.

– To nie było za moich czasów – powiedziała dobitnie.

– Szkoła z internatem była dla ciebie najlepszym rozwiązaniem – warknął Charles. – Nigdy nie lubiłeś bostońskiego domu. A tu kompletnie dziczałeś. Całymi dniami włóczyłeś się po skałach i oglądałeś mewy, zamiast grać w piłkę.

– Trzymaj się faktów. Nie chciałeś mnie tutaj.

– Szkoła z internatem zrobiła z ciebie mężczyznę.

– Tak? To dlaczego wykopałeś mnie z domu, kiedy skończyłem szesnaście lat?

– Dobrze wiesz dlaczego: obsmarowałeś mnie we

wszystkich gazetach, ośmieszyleś mnie. I jakby tego wszystkiego było mało, ukradłeś rodowy sygnet. Gdzie on jest, Travis? Sprzedałeś go?

– Nie wziąłem tego sygnetu.

– Zginął tej samej nocy, kiedy... Nigdy ci nie wybaczyłem, że zachowałeś się jak pospolity złodziej.

– Gdybyś znał mnie choć trochę, tato, wiedziałbyś, że mógłbym ci wbić nóż w pierś, ale nigdy w plecy. To nie w moim stylu.

– A więc twój przyjazd – wtrącił gładko Brent – nie ma nic wspólnego z prawnikami, którzy w najbliższych tygodniach zmieniają testament taty?

Zapadła martwa cisza. Julie stała jak posąg, wiedząc, że nie powinna podsłuchiwać, i bojąc się, że jeśli wycofa się do pokoju, mogą ją usłyszeć.

– Nie – powiedział głośno Travis. – Dowiaduję się o tym od ciebie. Nie potrzebuję pieniędzy taty. Mam swoje.

– Ile zarabiasz jako lekarz? – zadrwił Brent. – Daj spokój braciszku, mówimy tu o prawdziwych pieniądzach.

– Zapominasz, że odziedziczyłem część majątku dziadka, kiedy skończyłem trzydziestkę? Ty też dostaniesz swoje, Brent. Chyba że nie możesz tak długo czekać?

– Przestańcie! – powiedziała ostro Corinne. – Nie ma sensu tego przeciągać. Wróciłeś, Travis, ale po tym wszystkim, co zrobiłeś, pogodzenie się nie jest możliwe. Musisz stąd rano wyjechać. Łódź będzie gotowa tuż po śniadaniu.

– Nie, Corinne – odpowiedział Travis tak cicho, że Julie musiała wytężyć słuch.

– Oczywiście, że musisz wyjechać! – wybuchnął Charles.

– Jestem za – powiedział leniwie Brent.

– Wyjechałem jako dzieciak. Miałem szesnaście lat. Teraz mam trzydzieści cztery i zdążyłem się zmienić. Nie chcę twoich pieniędzy, tato. Nigdy nie chciałem. Ale chcę odzyskać rodzinę. Ciebie. To bardzo proste.

– Uciekłeś – fuknął Charles. – Przez sześć tygodni nie wiedzieliśmy nawet, czy żyjesz. I wzięłeś ze sobą sygnet.

– Przepraszam, że się nie odezwałem. Ale byłem młody i równie zaciętrzewiony jak mój ojciec. Co do sygnetu, mogę tylko powiedzieć, że nigdy go nie dotknąłem. Na litość boską, tato, wiedziałem, ile on dla ciebie znaczy.

– Zmieszałeś mnie z błotem w prasie.

– Zatrudniałeś w swoich fabrykach nielegalnych imigrantów i płaciłeś im nędznie. Rozmawiałem z tobą o tym, błagałem, żebyś podniósł im zarobki i załatwił legalne papiery. Ale ty odmówiłeś. Więc owszem, poszedłem z tym do gazet. Nie wiedziałem, co innego mogę zrobić.

– Zrobiłbyś to jeszcze raz, prawda?

– Teraz znalazłbym inny sposób.

– Tak naprawdę wcale się nie zmieniłeś – powiedział Charles twardym tonem.

– Przeszłość jest przeszłością. Nie możemy jej zostawić w spokoju?

– Corinne ma rację... musisz stąd rano wyjechać.

– Zostaję, chyba że jesteś gotów napuścić na mnie Olivera i Bertrama – oświadczył Travis z beztroską, która nie zabrzmiała szczerze.

– Może się z tym wszyscy prześpiemy – zdecydowała z werwą Corinne, odsuwając głośno krzesło. – Jestem pewna, Travis, że do rana to przemyślisz i zrozumiesz nasz punkt widzenia. Idziesz, Charles? Dobranoc, Brent.

– Dobranoc, tato – powiedział Travis.

Charles burknął coś pod nosem i drzwi jadalni zamknęły się z trzaskiem.

– Znów w niełasce, Travis – odezwał się lekceważącym tonem Brent. – Jak za starych czasów.

– Brent, co zrobiłeś z tym sygnetem?

Brent wahał się zdecydowanie za długo.

– Nic!

– Ktoś go zabrał, ale to nie byłem ja. Schowałeś go gdzieś? W końcu to nie zbrodnia, miałaś dziesięć lat. Nikt po tylu latach nie urwie ci za to głowy.

– Nie przejdzie ten numer, Travis. Dlaczego ty się nie przyznasz? Kto wie, tata mógłby ci nawet wybaczyć.

– On kochał ten sygnety. Powiedz, gdzie on jest.

– Odczep się – syknął wściekle Brent. – I odczep się od Julie. To moja dziewczyna, nie twoja.

– Nie znam zbyt dobrze Julie, ale wiem jedno – ma swój rozum. Może pozwolimy jej samej zdecydować, czyją będzie dziewczyną?

– Nie wchodź mi w drogę – dobrze ci radzę!

– Nie lubię, jak ktoś mi rozkazuje. Zwłaszcza ty... Dobranoc, Brent.

Julie znów usłyszała skrzypnięcie drzwi, a potem nagle brzęk tłuczonego szkła, jak gdyby Brent cisnął kieliszkiem w kamienny mur. Stuknęło o posadzkę krzesło i jeszcze raz trzasnęły drzwi.

Wzięła długi, uspokajający oddech. Już wiedziała,

dlaczego Travis opuścił wyspę. Jeśli publicznie oskarżył ojca o wyzysk robotników, i do dzisiaj był podejrzany o kradzież rodowego sygnetu, nic dziwnego, że rodzina nie przyjęła go z otwartymi ramionami.

Ale ją poruszyły inne sceny: chłopiec z rozwichrzonymi włosami, który ogląda szybujące ponad skałami mewy. Ten sam chłopiec, który wysłany na siłę do szkoły z internatem, przez dwa długie lata nie może wrócić na swoją ukochaną wyspę. Łzy cisnęły jej się do oczu.

Oliver i Bertram, gotowa była się założyć, nie wierzyli, że Travis ukradł rodowy sygnet. Ale jeśli nie on, to kto? Brent?

Westchnęła ciężko. Łóżko. Najlepsze, co mogła teraz zrobić. Zagrzebać się w łóżku i zasnąć kamiennym snem.

W końcu Julie zasnęła. Śniło jej się, że jest z Travisem. Najpierw, że mkną żwirową drogą na jakąś wyspę, na której mieli szukać ukrytego skarbu: złotych sygnetów i zardzewiałych żelaznych zbroi; i nagle, że się kochają na posłaniu z róż. Sen przeszedł w jawę, z migotaniem świecy i ręką mężczyzny szukającą jej piersi. Travis, pomyślała w przypiływie radości i odwróciła się do niego, otwierając oczy.

Travis nie miał jasnych włosów.

To nie był Travis. To był Brent.

Szarpnęła się do tyłu i spadła z łóżka, zaplątana w prześcieradła. W panicznym szale próbowała się wyswobodzić.

– Na litość boską, Julie – syknął Brent – co ty robisz? Chcesz obudzić cały dom?

Obciągnęła koszulę, zasłaniając piersi.

– Wynoś się stąd! Natychmiast!

Zszedł z łóżka, kiedy poderwała się na nogi. Miał nagi tors – zauważyła w pierwszym przebłysku trzeźwego myślenia.

– Jak się tu dostałeś? – spytała. – Zamknęłam drzwi na klucz.

– Bertram trzyma komplet zapasowych kluczy w pokoju kredensowym.

– Zamknęłam się celowo – wybuchła. – Nie jestem twoją kochanką. Nigdy nie byłam i nigdy nie będę!

– Jesteś wystarczająco dorosła, żeby znać reguły gry, Julie. Jak myślisz, po co cię tu zaprosiłem na cały weekend?

– Bo powiedziałam ci, jak bardzo tęsknię za oceanem.

– Jasne, gramy naiwną panienkę.

– Niczego nie gram. Nie interesuje mnie przygodny seks. Może powinieneś to sprawdzić, zanim mnie zaprosiłeś.

– Więc lubisz podpuszczać facetów, a potem figa z makiem?

– Nie prowokowałam cię – powiedziała z zimną furią – i nie dawałam ci w żaden sposób do zrozumienia, że pójdę z tobą do łóżka.

– Ta sukienka, w której przyjechałaś, z odkrytymi ramionami i dekoltem – to nie jest według ciebie żadna zachęta?

– To całkiem normalna letnia sukienka, i nie mam zamiaru rozmawiać w środku nocy o swojej garderobie. – Chwyciła najbliższą stojącą marmurową figurkę. – Wynoś się stąd, Brent, albo zacznę wrzeszczeć. Mam silne płuca, zapewniam cię.

– Więc jednak chcesz Trávisa?

– Nie chcę żadnego z was! Zamknij drzwi z drugiej strony.

– No, no, kto by pomyślał...

– Won!

Podszedł do krzesła, zabrał swoją koszulę i ruszył do drzwi.

– Tylko trzymaj się ode mnie z daleka przez resztę weekendu.

– O to możesz być spokojny.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Julie wzdrygnęła się z obrzydzenia. Myślała o tym, jak wchodził tu, kiedy spała, i patrzył na nią, powoli zdejmując koszulę. Czuła się cała zbrukana.

Postanowiła znaleźć rano Olivera i poprosić, żeby zabrał ją stąd pierwszym kursem. Miała powyżej uszu rodziny Strathernów. Z Travisem włącznie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Travis obudził się o piątej rano. Nie dostał swojego starego pokoju w wieży, tylko jeden z apartamentów gościnnych. Jeszcze jeden sygnał, że nie był tu mile widziany, i jeszcze jeden powód, dla którego mógł zaliczyć tę noc do najgorszych w życiu.

Jego pokój znajdował się niedaleko pokoju Julie. Po scenie, która rozegrała się na patio, siedział długo na przybrzeżnej skale, a gdy wracał tylnymi schodami, żeby pójść spać, zauważył Brenta wychodzącego w środku nocy z sypialni Julie. Jego brat był w samych spodniach i miał przewieszoną przez ramię koszulę.

Jeszcze teraz, po kilku godzinach, ściskało go w żołądku na samo wspomnienie. Julie cały czas go okłamywała. Swoją drogą, była świetną aktorką.

Usiadł na łóżku, przeczesując palcami włosy. Właściwie dlaczego tak bardzo go to dotknęło? Jeszcze wczoraj nie znał Julie, nie wiedział o jej istnieniu. A jednak nie mógł znieść myśli o tym, że była w ramionach Brenta, że mogła się z nim kochać. Piekąca, wściekła zazdrość zatruwała mu krew. Chciał tej kobiety dla siebie. Tylko dla siebie. I przegrał.

Corinne miała rację. Nie miał żadnego dobrego powodu, żeby tu zostać. Pogodzenie się z ojcem było niemożliwe. Niczego swoim przyjazdem nie osiągnął, a tylko niepotrzebnie wzniecił stare animozje.

Wstał z łóżka i podszedł do okna. Do pierwszego kursu łodzi zostały mu co najmniej cztery godziny, więc przed wyjazdem mógł się jeszcze przejść do latarni. Ubrał się i w skarpetkach, z butami w rękach, wymknął się z domu bocznym wyjściem od zachodniej strony. Owiało go rzeźkie poranne powietrze. Trawa była wilgotna od rosy, ptaki śpiewały, jakby to był pierwszy dzień stworzenia. Travis zawiązał sznurowadła i ruszył w drogę.

Dziesięć minut zajęło mu wydostanie się z pedantycznie utrzymanych ogrodów, równie wymuskanego „naturalnego” parku, ale w końcu dotarł do skraju prawdziwego lasu i szlaku, który sam przetańił wiele lat temu.

Kiedy pleszka śmignęła między klonami, zatrzymał się, podziwiając jej czarno-pomarańczowe upierzenie. Po chwili wypatrył królika, a potem wiewiórka zrzuciła mu na głowę sosnową szyszkę. Śmiejąc się, odrzucił ją w górę na drzewo. Wiewiórka cmoknęła, urażona. Po raz pierwszy od wielu godzin Travis czuł się jak człowiek. Odpędził od siebie myśli o rodzinie i o Julie, i ruszył dalej, rozluźniony, patrząc, jak wschodzące słońce przeziera przez gęste konary świerków.

Kwadrans później wynurzył się z lasu na skraj klifowego wybrzeża po wschodniej stronie wyspy. Widoczna stamtąd Bear Island, następna wyspa za Manatuck – również bardzo piękna – należała do niego. Zapisał mu ją w spadku dziadek.

Mógł zbudować na niej letni dom; gdyby starannie zaplanował lokalizację, nie musiałby nawet patrzeć na Castlereigh.

Szedł dalej, przyglądając się mewom, które kłębiły się nad turkusowym morzem jak strzępy białego papieru.

U stóp latarni, która ostrzegała przed pobliskimi rafami, wyciągnął się na mokrej trawie. Ileż to razy leżał tu jako młody chłopak, słuchając huku wzburzonych fal?

Podłożył ręce pod głowę i z zamkniętymi oczami zaczął rozpoznawać po głosach ptaki. Uśmiechnął się, zadowolony, że nie stracił dawnej umiejętności. Stopniowo opadał go spokój, i już prawie spał, gdy wydało mu się, że słyszy trzask gałęzi. Pamiętając, że czasami na Manatuck pojawia się jeleń, któremu uda się przepłynąć przez kanał, Travis przewrócił się na brzuch.

To nie jeleń wyłonił się na polanie za latarnią; to była Julie.

Miała na sobie różowe szorty i białą bluzkę; nie widziała go. Kiedy podniósł się z ziemi, stanęła jak wryta, tak jak to robi każdy zaskoczony jeleń.

– Travis, ale mnie przestraszyłeś... Nie spodziewałam się, że kogoś tu spotkam. – Nagle uśmiechnęła się szczerym uśmiechem wyrażającym radość. – Dawno nie oglądałam tak pięknego poranka.

Wszystkie emocje ostatnich dwunastu godzin połączyły się w mieszankę wybuchową.

– Dziwię się, że tak wcześnie wstałaś – warknął. – Po miłosnej nocy z Brentem.

Uśmiech zniknął z jej twarzy; Travis niemal widział, jak pracuje jej umysł.

– Widziałeś, jak wychodził z mojego pokoju – powiedziała beznamiętnym głosem.

– Tak, widziałem.

– Nie spałam z Brentem. Nie było żadnej miłosnej nocy. – Julie ani na moment nie spuściła wzroku.

– Dlaczego choć raz nie powiesz prawdy?

– Mówię prawdę.

– Wierzę w to, co widzę. A widziałem, jak mój brat o wpół do trzeciej w nocy wychodzi z twojego pokoju z koszulą przewieszoną przez ramię.

– Szkoda, że nie widziałeś, jaką miał minę, kiedy chciałam go zdzielić marmurową figurką Afrodyty.

– Nie sprawdził się jako kochanek?

– Czy ty mnie słuchasz?! – wykrzyknęła. – Kiedy wróciłam do pokoju, zamknęłam drzwi na klucz, bo przeszła mi przez głowę myśl, że Brent zechce mi złożyć wizytę w środku nocy. Ale pocziwy stary Bertram trzyma komplet zapasowych kluczy w pokoju kredensowym, gdzie każdy ma do nich dostęp. Skąd miałam o tym wiedzieć?

– Gdybyś wiedziała – Travis prychnął drwiąco – na pewno zastawiłabyś drzwi jakąś ciężką komodą.

Opuściła bezradnie ręce. Nie czuła już nawet złości, tylko straszną, obezwładniającą pustkę.

– Cokolwiek bym powiedziała, to i tak mi nie uwierzysz, prawda? Wyrobiłeś sobie o mnie zdanie już w pierwszej chwili, kiedy zobaczyłeś mnie nad brzegiem. W porządku, wierz, w co chcesz. Guzik mnie to obchodzi.

Pomyślawszy w rozpaczy, że zachowuje się jak małe dziecko, odwróciła się na pięcie, żeby uciec – dokądkolwiek, byle jak najdalej od pogardy wyrzytej na twarzy Trávisa. Łzy zaćmiły jej wzrok i potknęła się o kamień.

Travis chwycił ją w talii. Zamachnęła się i uderzyła go w nadgarstek.

– Zabierz te łapy!

Obrócił ją twarzą do siebie i pocałował w usta.

Tego Julie było za wiele. Wyrwała się, łzy płynęły jej po policzkach.

– Nie! Jesteś taki sam jak on!

Travis patrzył na nią, skamieniały. Myślała, że jest taki jak Brent. Dokładnie to powiedziała. Odruchowo otarł łzy z jej twarzy.

– Nie płacz, Julie – powiedział zduszonym głosem.
– Proszę cię, nie płacz.

Wyjęła z kieszeni zmiętą chusteczkę i wytarła nos.

– Nie płaczę. Nigdy nie płaczę z powodu mężczyzn. Nie są tego wari. – Milczała przez chwilę, spazmatycznie łapiąc powietrze. – Wiesz, co było w tym wszystkim najgorsze? Wlażł do mojego pokoju, kiedy spałam, usiadł na łóżku i gapił się na mnie. Niedobrze mi się robi, kiedy o tym myślę. Poza tym... śniło mi się wtedy, że jestem z tobą.

– Ze mną? – powtórzył głupkowato.

– O Boże, nie powinnam tego mówić. Nie umiem trzymać języka za zębami. Moja matka powtarza, że to jedna z moich najgorszych wad, i ma rację. Ale dajmy temu spokój. Idę się spakować. Zjem ogromne śniadanie i wracam z Oliverem na stały ład. Mam dosyć ciebie, twojej rodziny i tej koszarnej kupy kamieni, przy której Disneyland to szczyt dobrego smaku.

– Zamierzałem zrobić to samo – powiedział, hamując śmiech.

– Możesz popłynąć następnym kursem. Nie ze mną.

– Na łodzi jest dość miejsca dla nas obojga.

– Dla mnie i dla ciebie nie byłoby dość miejsca na „Titanicu”. Poza tym przyjechałeś tu, żeby pogodzić się z ojcem. Więc zrób to. I życzę ci powodzenia.

– Więc nie spałaś dziś z Brentem? – spytał ostrożnie.
– Nigdy z nim nie spałaś?

– Dwa genialne wnioski. Możesz do nich dodać coś jeszcze. Nigdy nie pójdę do łóżka z Brentem.

– Czy on ci zrobił jakąś krzywdę?

– Nie. Masz jeszcze jakieś pytanie?

– Co to był za sen? Ten ze mną.

– Nieważne.

– Niecenzuralne?

– Dużo czasu spędzałeś tu w dzieciństwie? – Julie pospiesznie zmieniła temat.

– Zanim skończyłem sześć lat, tak. Potem mnie wysłali do szkoły z internatem.

– Której, sądząc po twojej minie, nienawidziłeś.

– Tak. Chociaż później poznałem chłopaka, z którym się bardzo zaprzyjaźniłem – wciąż jesteśmy w kontakcie. Bryce był równie niepokorny jak ja. Julie... dlaczego nie płaczesz z powodu mężczyzn?

– Posłuchaj, Travis, nasze drogi się dzisiaj rozchodzą. I chociażby dlatego moja intymna przeszłość nie powinna cię interesować.

– Gdzie mieszkasz?

– W Portland. Chwilowo.

– Ja też. To małe miasto – pewnie na siebie wpadniemy.

– Wątpię. Niedługo wyjadę.

– Przed czym uciekasz?

– Akurat ty nie masz prawa o to pytać. Rezygnujesz z odzyskania ojca bez walki.

– Nic nie wiesz o moim ojcu i o mnie. Więc przestańmy o tym mówić – powiedział łagodnie.

Wiedziała niemało, ale nie miała zamiaru się przyznać, że podsłuchiwała rodzinną rozmowę. Mina Travisa sugerowała, że urwałby jej głowę.

– Okej. Muszę wracać. Żegnaj, Travis.

Nie tak szybko, pomyślał, i powiedział z leniwym uśmiechem:

– Zostanę na przyjęciu, jeśli i ty zostaniesz.

– To dziecinada!

– Boisz się zostać, Julie? Chyba nie boisz się mnie?

Nigdy nie była strachliwa i zawsze miała skłonność do ryzyka. A pomijając wszystko inne, tajemnicze perypetie rodziny Strathernów rozbudziły jej ciekawość jak dobry kryminał.

– Jeśli zostanę... – przechyliła na bok głowę – ...ty będziesz musiał się postarać pogodzić ze swoim ojcem.

– Jeśli zostaniesz, będziesz musiała trzymać się z daleka od Brenta.

– Nie ma sprawy.

– Umowa stoi – powiedział, po czym wziął ją w ramiona i pocałował.

W zamierzeniu to miał być żart, sposób przypieczętowania ich umowy. Ale kiedy Julie wyprężyła się i zaczęła go odpychać, Travisa ogarnęło jakieś szaleństwo. Jak niczego innego w życiu zapragnął, żeby go nie odtrącała. Tuląc ją w objęciach, całował delikatnie, błędził wargami po jej twarzy, ogrzewał oddechem jej szyję.

Nagle jej opór stopniał. Z namiętnością, która poraziła dreszczem jego ciało, Julie odwzajemniła pocałunek. Uniosła ręce i wsunęła palce w jego włosy. Czuła, jak bardzo jest podniecony, ale nie odsunęła się, tylko przyłgnęła mocniej do jego bioder.

– Julie – szeptał. – Piękna Julie.

Płonął z pożądania, a czy było lepsze miejsce od tego, żeby się z nią kochać?

Wsunął dłonie pod jej bluzkę i odkrył, że jest bez stanika. Jęknął żałośnie, czując pod palcami jej twarde jak kamień sutki.

– Julie... mamy na sobie za dużo ubrań. – Uwolnił ją z objęć i sięgnął do górnego guzika jej bluzki. – Chcę cię zobaczyć. Całą. Połóż się ze mną, Julie...

Miała zamglone oczy i obrzmiałe od pocałunku usta.

– Tak bardzo cię pragnę, jesteś taka cudowna, taka rozpalona... Ale guziki twojej bluzki – powiedział ze śmiechem – są zdecydowanie za małe... możesz mi pomóc?

Przyjmując jej zgodę za pewną, zdjął przez głowę swój T-shirt. Stała w miejscu, patrząc nieruchomym wzrokiem na jego nagi tors. Na chwilę przyłożyła dłonie do policzków. Wygląda na zszokowaną, pomyślał. I wystraszoną. Wystraszoną? Bała się go?

– Travis... – odezwała się słabym głosem – nie możemy! Nie możemy się tu kochać. Nic o sobie nie wiemy. Cały czas, od początku ze sobą walczymy. To byłoby szaleństwo.

Była zdenerwowana; i to nie była gra. Mimo to wiedział, że gdyby ją pocałował, zmieniłaby zdanie. Ale czy chciał się z nią kochać po to, żeby chwilę później tego żałowała?

– Powiem ci jedno: nigdy żadnej kobiety nie pragnęłam tak jak ciebie. Przysięgam.

– Przerażasz mnie – wyszeptwała. – Staję się przy tobie kimś obcym, kobietą, której nie znam. Ja nigdy się tak nie zachowuję. Nigdy!

– Julie, zostań na wyspie. Zostań na cały weekend. Zrób dla mnie przynajmniej to.

- Nie wiem... Muszę iść... – mruknęła jakby do siebie.
- Wrócę sama, spotkamy się na śniadaniu.
Na oczach całej rodziny, pomyślał z bezsilną rozpaczą.
- Julie, ja nic o tobie nie wiem. Nie wiem, gdzie mieszkasz w Portland, czy tam pracujesz, skąd jesteś...
- Wiesz o mnie coś, o czym ja sama nie wiedziałam
- szepnęła. I zanim otworzył usta, żeby odpowiedzieć, odwróciła się i uciekła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zdyszana Julie wypadła zza drzew i stanęła jak wryta. Corinne ścinała róże w ogrodzie i układała je w koszyku, który budził skojarzenie z powieściami Jane Austen. Kiedy zobaczyła Julie, podniosła głowę.

– Dzień dobry – powiedziała serdecznie. – Jak się czujesz, Julie? Chyba lepiej?

– Tak, dużo lepiej, dziękuję. Jakie piękne kolory mają te róże!

– Chcę nimi udekorować stół na wieczorne przyjęcie. Widziałaś może dzisiaj Travisa?

– Jest przy latarni.

– Powinam się była domyślić. Wczoraj wieczorem – powiedziała z wymuszoną swobodą – powiedział, że być może nie zostanie na przyjęciu. Oliver mógłby go odwieźć koło dziewiątej.

Julie nie wiedziała, czy Travis zostanie. Ona też nie podjęła decyzji. Patrzyła na pasiaste, różowo-białe płatki ściętych róż. Namiętność i czystość, pomyślała, siłą woli odsuwając od siebie wspomnienie szalonych pocałunków Travisa.

Zostać czy wyjechać. Co powinna zrobić?

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? – spytała Corinne.

– Tak. – Odetchnęła głęboko i dodała bez zastanowienia: – Mam nadzieję, że Travis zostanie. Wspomniał mi

coś o próbie pogodzenia się z ojcem. Życie jest zbyt krótkie, żeby chować urazę do najbliższych sobie ludzi, nie sądzisz, Corinne?

– Niełatwo jest dojść do porozumienia z Travisem. A ja nie chcę, żeby cokolwiek zakłóciło przyjęcie urodzinowe Charlesa – zbyt dużo włożyliśmy w nie wysiłku i pieniędzy. – Sięgnęła po bladożółtą różę z różowym środkiem i dodała od niechcienia: – Długo znasz Brenta?

– Wystarczająco długo – odpowiedziała oschle Julie, nie dbając, jak to zinterpretuje Corinne. – Wezmę prysznic, żeby zdążyć na śniadanie.

Przemaszerowała przez trawnik. Przed głównym wejściem do zamku rozstawione były ogromne namioty z pasiastymi markizami. Kosze niebieskich i różowych hortensji okalały kamienne mury. To będzie piękny bankiet, pomyślała z irytacją. Pozory zamiast treści. Zupełnie jak życie jej rodziców.

Kiedy Travis wszedł do jadalni – gdzie śniadanie zawsze podawano w stylu bufetowym, na ogromnym mahoniowym kredensie – Charles i Corinne już tam byli.

– Brent jeszcze nie wstał?

– Brent rzadko jada śniadania – powiedział krótko ojciec.

– Dobrze spałeś? – spytała uprzejmie Corinne.

– Tak źle, że gorzej nie można. Zostaję, tato. Powiem wszystkim, że właśnie wróciłem z Angoli i dlatego się długo nie pokazywałem. Przedtem była Tanzania i Laos. Zresztą tak się składa, że to prawda.

– A kiedy wracasz do Angoli? – burknął Charles.

– Na lato wziąłem prywatną praktykę w Portland,

w zastępstwie lekarza, który chciał wyjechać z rodziną do Szkocji. Więc pewnie wyjadę na początku jesieni, ale chyba nie do Angoli.

– Na całe lato?

– A jakie to ma znaczenie?

– Przez całe lato będziesz w Portland?

– Owszem. – Próbując zlekceważyć fakt, że ojciec wyglądał na niemile zaskoczony, Travis posłał mu krzywy uśmiech. – Może zaprosisz mnie za kilka tygodni na wyspę, żebyśmy mieli więcej czasu na rozmowy.

– Chcę porozmawiać z tobą teraz. Albo zaraz po śniadaniu.

Travis nalał sobie szklankę soku pomarańczowego. Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale ważne, że Charles chciał z nim rozmawiać. To dobry znak.

Dlaczego Julie nie przyszła na śniadanie? A gdyby się okazało, że wyjechała i że nie zobaczy jej już nigdy w życiu? Jak by się czuł? Na szczęście w tym momencie Julie weszła do jadalni. Była w swojej kwiecistej sukience i miała wilgotne włosy. Travis ścisnął mocniej szklankę. To, co się wydarzyło przy latarni, nie było jakimś chwilowym zaćmieniem umysłu. Teraz pragnął jej równie mocno.

– Dzień dobry, Julie. – Charles podniósł się z krzesła, jak przystało na dżentelmena w dawnym stylu. – Dobrze spałaś?

– Obudziłam się bardzo wcześnie, więc poszłam na spacer. Do latarni. – Uśmiechnęła się do Charlesa. – Rozumiem, dlaczego Travis kocha Manatuck – tu jest tak pięknie.

– Cieszę się, że dobrze się u nas czujesz. Mam nadzieję, że zagrasz ze mną trochę później w tenisa?

Travis wstrzymał oddech.

– Z przyjemnością – odpowiedziała Julie po chwili wahania. – Chociaż przyznam, że dosyć długo nie grałam.

Postanowiła zostać. Travis odwrócił się do kredensu, gapiąc się na paterę z owocami, jak gdyby nigdy wcześniej nie widział melonów czy truskawek. A więc wyrok był odroczone. Jeszcze całą dobę mieli spędzić razem na wyspie.

Julie zaczęła wypytywać o historię Manatuck, temat niezwykle drogi sercu Charlesa. Travis nałożył sobie jajka z bekonem i zabrał się do jedzenia. Wyjaśnienie formalnych trudności z nabyciem wyspy i logistycznych trudności z wybudowaniem na niej zamku zajęły Charlesowi pół godziny, po czym odsunął od stołu krzesło.

– Skończyłeś, Travis? To przejdźmy do biblioteki. Julie, spotkajmy się za godzinę na korce.

W bibliotece, zamknawszy drzwi, Charles zajął pozycję przed kominkiem. Był wyraźnie skrepowany. Czyżby chciał rozmawiać o zmianach w testamencie, które miały na celu wydziedziczenie starszego syna? Z perspektywy finansowej Trávisa niewiele to obchodziło, z emocjonalnej – obchodziło go bardzo.

– O co chodzi, tato? – spytał beznamiętnie, siadając w skórzanym klubowym fotelu.

– Twój przyjazd był dla nas wszystkich szokiem.

– Mam nadzieję, że szok nie był zbyt przykry.

– Być może powiedziałem rzeczy, których nie powinienem był powiedzieć. Żałuję tego.

To było więcej, niż Travis się spodziewał.

– Zapomnijmy o tym – powiedział ciepło.

– Zgoda jest oczywiście tym, na czym nam wszystkim

zależy. Masz rację. Przeszłość jest przeszłością i trzeba ją puścić w niepamięć. Co było, to było. Co się stało, to się nie odstanie. Zakopujemy topory wojenne.

Charles zawsze lubił utarte powiedzenia.

– Bardzo mi na tym zależy – powiedział Travis, nie dając po sobie poznać, jak bardzo jest zdumiony. To wszystko było zbyt proste. Czy ojciec przez jedną noc mógł przejść aż taką metamorfozę?

– Tamten nieszczęsny atak prasowy, sygnet... było, minęło.

– Do dzisiaj żałuję, że poszedłem z tym do gazet. To było szczeniackie zachowanie, tylko tyle mogę powiedzieć. Dzisiaj bym tego nie zrobił.

– Tak, tak, oczywiście – powiedział niecierpliwie Charles.

Ale Travis jeszcze nie skończył.

– Jeśli chodzi o sygnet, przysięgam, że go nie wzięłem.

– Mniejsza o sygnet, przestało mi na nim zależeć. Więc wszystko jest wybaczone i zapomniane, teraz możesz spokojnie wyjechać z Portland. Choćby jutro. Nie ma sensu, żebyś tam dłużej siedział. Zrobiłeś już to, co zamierzałeś.

– Wyjechać z Portland?

– Tak. Oczywiście. Po co miałbyś marnować czas w takiej miejscinie jak Portland? Jestem pewien, że masz większe ambicje. Czytałem o twoich sukcesach, o szpitalach, które zakładałeś w krajach Trzeciego Świata. To piękna działalność, Travis. Jestem pewien, że chciałbyś do tego wrócić. Pewnie myślałeś, że rozmiękczenie mnie zajmie ci całe lato, dlatego przyjąłeś pracę na

dwa miesiące. – Zaśmiał się donośnie. – Zaskoczyłem cię, prawda? Myślałeś, że będę bardziej nieustępliwy?

– Tak. Tak właśnie myślałem – powiedział Travis, tłumiąc wściekłość. – Cieszę się, że odbyliśmy tę rozmowę, i mam nadzieję, że będzie ich jeszcze więcej. Ale nie mogę wyjechać z Portland natychmiast – mam zobowiązania wobec Marka i jego rodziny.

– Jak to: nie możesz? Oczywiście, że możesz.

– Wyjadę przed pierwszym września.

– Znajdź kogoś innego, kto zastąpi twojego przyjaciela!

– Po co ten pośpiech, tato? Jeśli naprawdę mi wybaczyłeś, to może zechciałbyś spędzić ze mną trochę czasu?

– Twoja macocha i ja będziemy wyjątkowo zajęci tego lata. Może nawet wyjedziemy na miesiąc albo dłużej... może mógłbyś przyjechać do Bostonu na Boże Narodzenie?

– Może mógłbym.

– Więc wyjedziesz z Portland?

– Wyjaśniłem ci, dlaczego nie mogę zrobić tego w tej chwili.

Charles zacisnął usta.

– Proszę cię o przysługę, Travis. Po tych wszystkich latach chyba możesz dla mnie coś zrobić? Znajdź jakiegoś zastępcę – pewnie jest mnóstwo lekarzy, którzy chcieliby spędzić lato w Maine.

– Gdybym zrozumiał, dlaczego ci zależy, żebym wyjechał, może byłbym bardziej otwarty na takie wyjście.

– „Dlaczego” od dziecka było twoim ulubionym słowem – powiedział zjadliwym tonem. – Nigdy nie przyjmowałaś niczego za dobrą monetę, zawsze musiałeś

szukać dziury w całym. Nie zmieniłeś się, Travis. Jesteś taki sam jak dawniej.

Więc przebaczenie było pozorne.

– Będę rozmawiał z Markiem w przyszłym tygodniu. Zobaczę, co o tym myśli. To jedyne, co mogę zrobić – powiedział z rezerwą.

– Dobre i to – burknął Charles. – Muszę iść się przebrać, jeśli mam zagrać z Julie. Ale skorzystaj z mojej rady – zadzwoń do Marka jak najszybciej.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi z niepotrzebnym impetem. Travis patrzył za nim niewidzącym wzrokiem, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Czy cały ten akt wybaczenia był od początku do końca grą?

Ale dlaczego? Dlaczego ojcu tak zależało, żeby już jutro wyjechał z Portland?

I dlaczego Julie była głównym powodem, dla którego nie chciał tego zrobić?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O wpół do ósmej wieczorem Travis wyprostował w lustrze muszkę i poprawił smoking. Wiedział, że powinien w końcu zejść na dół, ale na myśl o tłumie ludzi, wobec których będzie musiał udawać, że naprawdę pogodził się z ojcem, cierpła mu skóra. Gdyby chciał zostać aktorem, nie poszedłby na akademię medyczną.

Nie po raz pierwszy żałował, że nie ma tu jego siostry Jenessy. Odkąd opuścił dom, nieczęsto się widywali, ale byli ze sobą w stałym kontakcie. Piękna, niepokorna i utalentowana artystycznie Jenessa powoli wyrabiała sobie nazwisko wśród właścicieli galerii i liczących się kolekcjonerów. Travis zawsze podziwiał determinację, z jaką sama decydowała o własnym życiu. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przydałoby mu się jej moralne wsparcie.

Chcąc, nie chcąc, zszedł do ogrodu. Przez całe popołudnie goście zjeżdżali się swoimi jachtami, łodziami motorowymi i prywatnymi samolotami. Teraz kłębili się między oświetlonymi bajecznie namiotami. Roślin doniczkowych było tyle, że wystarczyłoby na zaopatrzenie wszystkich kwaciarni Nowego Jorku, a za biżuterię kobiet można by kupić Biały Dom. Travis skierował się do głównego namiotu, zatrzymując się po drodze, żeby porozmawiać z ludźmi, i zauważając z rozbawieniem, że niektórzy odwracali się do niego plecami, zanim zdążył się do nich odezwać.

Bankierzy i maklerzy giełdowi z reguły mają dobrą pamięć: nie mogli mu zapomnieć ani wybaczyć tamtego artykułu w gazecie. Wypatrzył przy barze Brenta z jakąś blondynką w sukni, która uwydatniała przynajmniej dwa z jej oczywistych atutów, i zaczął rozglądać się za Julie. Była wśród tłumu młodszych gości w odległym końcu murawy. Nie widziała go. Podszedł bliżej z łomoczącym sercem.

Była w sukni z tajlandzkiego jedwabiu; prosta linia, boczne rozcięcie do kolan i cienkie ramiączka były eleganckie, a nie nadmiernie prowokacyjne. Subtelne połączenie błękitu i zieleni podkreślało kolor jej oczu, podobnie jak naszyjnik i kolczyki z brazylijskiego kryształu.

Musiał ją mieć. Musiał.

Takie myśli opadły go mimo woli. Ale każdy nerw jego ciała mówił, że to prawda – że nigdy w życiu nie pożądał kobiety tak obsesyjnie, z taką dziką niecierpliwością.

Zawrócił w stronę głównego namiotu, gdzie przyłączył się do uroczystego toastu urodzinowego, zatańczył z Corinne i z kilkoma jej znajomymi, i zjadł kolację ze starym lekarzem rodzinnym i jego żoną, jego wiernymi sprzymierzeńcami. Było ciemno, kiedy wybrał się na poszukiwanie Julie.

Tańczyła rock and rolla w namiocie położonym najbliżej wody i wyglądało na to, że świetnie się bawi. Jej partner był wysokim, brodatym młodym mężczyzną. Nie na długo, pomyślał Travis, i gdy skończył się kolejny kawałek, podszedł do niej od tyłu i ogarnął ją ramieniem w tali.

– Cześć, Julie.

– Travis... – Odwróciła się, nie od razu, i z wyraźnym wysiłkiem spytała: – Znasz tych ludzi?

Młody mężczyzna miał na imię Michael, a jego apetycznie pulchna żona – Kathy.

– Następny taniec jest mój – powiedział Travis.

– To prośba czy rozkaz? – syknęła Julie, gdy rozległa się na nowo muzyka.

Nie chciała okazać złego humoru, ale przez cały wieczór liczyła na to, że Travis ją znajdzie i raczy poświęcić jej trochę czasu.

– Masz rację – powiedział nagle. – Nie musimy tańczyć. Chcesz coś do jedzenia?

– Już jadłam.

– Przejdźmy się nad wodę.

– Ignorowałeś mnie przez cały wieczór, a teraz mam skakać na twoje zawołanie?

– Julie, tańczyłem z Corinne, wygłosiłem urodzinowy toast, który był majstersztykiem dyplomacji, znosiłem afronty ze strony dwóch trzecich przyjaciół mojego ojca i teraz muszę się oderwać od tego wszystkiego.

Julie przyjrzała mu się uważniej. Miał zmęczoną twarz i przygaste oczy. Pomyślała, że ma dosyć oszukiwania.

– Wczoraj wieczorem byłam na balkonie, kiedy ty i twoja rodzina wyszliście na patio. Słyszałam wszystko, całą rozmowę.

Travis zawsze starał się chronić swoją prywatność i nie podobało mu się, że Julie zna wszystkie sekrety Strather-nów. Dotąd nikt, poza Bryce'em, nie wiedział o jego przeszłości.

– Masz w zwyczaju podsłuchiwanie cudzych rozmów?

– Jasne... – Przechyliła na bok głowę. – To jest to, co mnie naprawdę kręci.

Travis nie lubił uległych kobiet; o Julie mógł być pod tym względem spokojny.

– Ojciec, z nieznanym mi powodów, chce, żebym w najbliższym tygodniu wyjechał z Portland.

– Zrobisz to?

– Nie. Zostanę do końca lata.

Julie patrzyła na niego w milczeniu. Portland było małym miastem. Za małym dla nich obojga, a ona podpisała kontrakt na trzy miesiące.

– Nie mogę iść z tobą na spacer w tej chwili. Obiecałam Kathy i Michaelowi, że pójdę z nimi, kiedy ona będzie karmiła dziecko... Chodziłam z nimi do szkoły i strasznie chcą się pochwalić swoją córeczką. O, właśnie Kathy do mnie macha.

– Pójdę z tobą.

– Nie sądzę...

– Hej, Julie – powiedziała Kathy – właśnie dzwoniła opiekunka, Andrea już się obudziła. Travis, chcesz obejrzeć nowego członka naszej rodziny? Jutro skończy trzy miesiące.

– Jasne – powiedział z uśmiechem, podając jej ramię. – Chodźmy.

Po kilku godzinach chodzenia w nowych sandałach Julie miała obolałe stopy, i w ogóle czuła się niewyraźnie. Szła w stronę zamku, starając się trzymać jak najdalej od Trávisa, każdym nerwem wyczuwając jego długi, swobodny krok. Gdyby nie był taki wysoki, taki męski, tak cholernie przystojny... Kiedy dodała do tego upajający wieczór z zapachem róż i szelestem fal omywających plażę, była stracona.

Niemowlę leżało w kołysce w jednej z gościnnych sypialni na parterze. Kathy wzięła dziecko na ręce, podczas gdy Michael poszedł z opiekunką do kuchni, by podgrzać butelkę.

– Julie, potrzyмай przez moment Andreę. Muszę wyjąć czystą pieluchę.

Gdy dziecko wylądowało na jej rękach, Julie instynktownie przytuliła czarną główkę do swojego ramienia, drugą ręką podtrzymując kręgosłup. Kwilenie Andrei i ciepło małego ciała obudziło w Julie głęboką czułość.

Travis stał przy drzwiach, z oczami przyklejonymi do kobiety z dzieckiem. Jak mało w rzeczywistości o niej wiedział! O jej marzeniach i pragnieniach, o tym, co się w jej życiu nie powiodło, o jej potrzebach. Zawsze się uważał za bystrego faceta, ale ona była enigmą.

Julie podniosła wzrok, jak gdyby nie mogła się oprzeć magnetycznemu spojrzeniu Travisa. Jego oczy zdawały się wwiercać w jej duszę.

– Połóż ją na łóżku, Julie – powiedziała Kathy. – Co ci jest? Dobrze się czujesz?

– Tak, tak... Wszystko w porządku. – Julie położyła dziecko na flanelowym kocyku.

Podeszła do Travisa. Kiedy objął ją ramieniem, wtuliła się w jego silny, ciepły tors, zamykając oczy. Nie mogła się rozplakać. Nie tu. Nie teraz.

Dlaczego miałyby płakać? Travis był obcym, przypadkowo poznanym mężczyzną, który wkrótce zniknie z jej życia.

Dlaczego nie mogłyby go mieć? Co ją powstrzymało?

Ta myśl wpadła jej do głowy bez żadnego ostrzeżenia.

Całym wysiłkiem woli Julie wyprostowała się i odsunęła od niego.

– Kathy, nie będziemy wam przeszkadzać. Strasznie się cieszę z tego spotkania, umówmy się za kilka tygodni.

– Nasz numer jest w książce telefonicznej. Zadzwoń do nas. – Kathy roześmiała się. – Tylko niezbyt wcześnie rano.

– Śliczne dziecko – powiedziała szczerze Julie. – Travis, idziemy?

Wyszła pierwsza, sztywno wyprostowana. Nie miała pojęcia, jak trafi do swojego pokoju. Ale jakoś musiała trafić. Sama.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytał Travis, kiedy znaleźli się w ogrodzie.

– A o co pytasz?

– Prawie rzuciłaś mi się w ramiona, i nagle się przestraszyłaś – jakbym był wcielonym diabłem.

– Za dużo widzisz – powiedziała nieprzyjaznym głosem. – Jestem zmęczona i mam dosyć tego przyjęcia. Idę do swojego pokoju, zobaczymy się jutro.

Stali za krzakami bzów, które wiele lat temu uwielbiała jego matka za ich zapach. Jednym z najwcześniejszych jego wspomnień była mama wchodząca do salonu z nęczeniem fioletowych kwiatów. Miała długie, bujne czarne włosy; jako mały chłopiec porównywał je do połyskującej czerni morza w zimowy wieczór.

Otrząsnął się i wrócił do teraźniejszości. Nie miał zamiaru pozwolić odejść Julie, tak po prostu, jak gdyby był niczym więcej niż meblem, który można ominąć.

Objął ją mocno i pochyliwszy głowę, pocałował jej nagie ramię.

– Julie – wyszeptał do jej ust. – Chodźmy do mnie...

Słyszała go jakby z oddali, zamroczona pożądaniem.

Nie poznawała samej siebie. Zupełnie nad sobą nie panowała i była tym zaniepokojona.

Wyrwała się w odruchu paniki. Gdyby poszła do łóżka z Travisem, gdyby się z nim kochała, zdobyłby nad nią władzę. Czula to przez skórę. Zniewoliłby ją na zawsze.

Obróć to w żart, Julie.

– Skończyłeś inny kurs chemii niż ja? Twoje ciało plus moje ciało, spora dawka zapachu bzu jako katalizatora i eksplozja gwarantowana.

– Możesz nawet darować sobie bez.

– Z bzem czy bez bzu, ja w to nie wchodzę, Travis – powiedziała, łapiąc oddech. – Wolę z tobą nie zaczynać.

– Boisz się, Julie?

– Chemia nigdy nie była moją mocną stroną.

– Wołałaś biologię? – spytał łagodnie, ujmując w dłoń jej twarz.

– Fizykę. Travis... – Nagle przestała silić się na humor. – Ja nie szukam przygody. Ani na ten weekend, ani na resztę lata. Nie ma tego w moich planach.

– Nigdy nie słyszałaś na chemii o zapłonie samoczynnym?

– Widocznie opuściłam ten wykład.

– Niepotrzebny nam żaden wykład, Julie. Ty i ja pod rozgwieżdżonym niebem, to wystarczy.

Miała tego dosyć.

– Nie chcę zrobić czegoś, czego oboje byśmy żalowali – powiedziała ostro.

– Nie mów za mnie, Julie... Ja bym nie żałował. Jakiś facet musiał cię bardzo skrzywdzić, prawda?

Gdyby to mogło być takie proste. Ale nie chciała wyprowadzać go z błędu.

– Dobranoc, Travis. Zobaczymy się jutro.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Las był zielony i bujny, jej stopy grzeźły w grubym mchu, gołe kolana ocierały się o krzewy paproci. Kiedy Julie przystanęła, upajając się ciszą i spokojem, jasnożółta pokrzewka usiadła na gałęzi tuż obok, patrząc na nią ciemnymi oczkami.

Już drugą noc źle spała i znów śniła o Travisie. Były to sny niecenzuralne. Dozwolone od lat osiemnastu.

Przynajmniej miała dość rozumu, żeby uciec od niego wieczorem spod krzaków bzu. Westchnęła ciężko. Ta poranna wyprawa też była formą ucieczki. Przyплыnęła na wyspę położoną najbliżej Manatuck. Kajak, który pożyczyła z hangaru, zostawiła na plaży. Z tego, co widziała, ta wyspa była całkiem dziewicza. Żadnych domów, ludzi, i na pewno żadnych kamiennych zamków. Pomyślała mimo woli, że ktoś, do kogo należało to miejsce, był prawdziwym szczęściarzem.

Z dreszczem niepokoju zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie znużył jej trochę włóczęgowski styl życia. Na pewno z każdym wyjazdem coraz bardziej tęskniła za błękitnym morzem i skalistymi brzegami swoich rodzinnych stron.

Osiąść w Portland? Wykluczone.

Miała zamiar połączyć kilka minut i wrócić do Castlereigh na śniadanie. A potem zabrać się na łódź z Oliverem i wrócić do codziennego życia.

Wolałaby, żeby Travis wyjechał w tym tygodniu z Portland, tak jak chciał jego ojciec.

Jej iluzoryczny spokój uleciał. Ruszyła zboczem w dół, z powrotem na brzeg, ostrożnie stawiając stopy na wystających z mchu wilgotnych kamieniach. Gdy wyłoniła się zza drzew, zobaczyła na piasku drugi kajak. Brent sprężystym krokiem zmierzał w jej stronę.

Brent. Nie Travis.

– Dzień dobry! – zawołała. – Wcześniej wstałeś.

Nie raczył odpowiedzieć, bardzo się do niej śpiesząc. Przystanąła za powalonym pnem, czując, jak łomocze jej serce. Poza nią i Brentem nie było na tej wyspie żywej duszy. Nie lubiła Brenta i nie miała do niego zaufania.

Zatrzymał się dwa kroki od niej.

– Ta wyspa należy do Trávisa. Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– No właśnie... nasz dziadek zostawił ją jemu. Razem z wielką górą pieniędzy.

– Nienawidzisz swojego brata.

– Widziałas go wczoraj wieczorem z tatą? Wzruszający popis synowskiej miłości. Travis chce się z nim oczywiście pogodzić. Dobrze wie, co ma do zyskania.

– Mierzysz go własną miarką – powiedziała szczerze, ale mało roztropnie.

– Bystra z ciebie dziewczynka, Julie... Skreśliłaś mnie, jak tylko zobaczyłaś jego, prawda?

– Skreśliłam cię, kiedy włamałeś się do mojego pokoju.

– Powinnaś się zastanowić dwa razy, zanim zgodziłaś się przyjechać na wyspę całkiem sama.

– Uważaj, Brent – powiedziała ostro. – Jeśli to jest

groźba, to ty się zastanów dwa razy, zanim zrobisz coś głupiego. A tak dla całkowitej jasności, jestem równie mało zainteresowana Travisem, jak tobą.

– Myślisz, że w to uwierzę? Nie urodziłem się wczoraj.

– Jeśli nie urodziłeś się wczoraj, to skocz po rozum do głowy i wracaj na Manatuck. Ja też zaraz wracam, żeby zdążyć na śniadanie.

– Nie sądzę.

Kiedy zmrużył oczy i napiął mięśnie, Julie miała ułamek sekundy na decyzję. Odwróciła się i pognąła w las. Brent nie był w tak dobrej formie jak Travis; była prawie pewna, że potrafi mu uciec. Słyszała go blisko za sobą, zbyt blisko, przeklinającego z monotonnym sapaniem, które przyprawiało ją o gęsią skórkę. Przeskoczyła zwalony pień, pośliznęła się na kamieniu, odzyskała równowagę i czmychnęła pomiędzy dwa drzewa.

Wciąż słyszała jego dyszący oddech. I bała się odwrócić.

Strach dodawał jej skrzydeł, skręciła w leśną ścieżkę prowadzącą w górę zbocza. Biegła kilka minut, potem wyminęła kilka krzaków, dała nurka pod nisko zwisającymi gałęziami i wdrapała się po urwistej granitowej skale ze zwinnością, która, mimo całej grozy sytuacji, rozbawiła ją. Miała lęk wysokości i z zimną krwią nigdy by się na to nie zdobyła.

Biegąc dalej między gęstymi sosnami, wpadła jedną nogą w dół, może w norę jakiegoś zwierzaka, i straciła równowagę. Kontrolując upadek, uniknęła skręcenia kostki, ale runęła ciężko i złamana gałąź zraniła jej nogę. Podźwignęła się z jękiem i chwiejąc się, pokuśtykała dalej.

Ale nie słyŝała za sobą ciężkiego oddechu. Czyżby, mimo upadku, zgubiła Brenta?

Odwróciła się przez ramię. Ani śladu jej prześladowcy. Na wszelki wypadek zmieniła kurs i schowała się za drzewami. Kiedy już była pewna, że jest sama, przysiadła na granitowym głazie, wciąż rozglądając się na boki.

Krwawiła jej noga, miała skaleczoną rękę i podrapany policzek, ale przynajmniej nie połamala sobie kości. Teraz musiała tylko chwilę odczekać, a potem iść z powrotem na brzeg. Gdyby na plaży był tylko jeden kajak, miałyby pewność, że Brent odpłynął.

Lekko utykając, ruszyła w drogę powrotną dwadzieścia minut później. Ale gdy w końcu wydostała się z lasu, zobaczyła ku swemu przerażeniu, że zniknęły oba kajaki.

Travis spał wyjątkowo długo tego ranka, i było dobrze po dziewiątej, kiedy zszedł na śniadanie. Zawahał się przed drzwiami Julie, zapukał lekko, ale w jej pokoju panowała absolutna cisza. Musiała już być na dole.

Ale tam jej nie było i nikt jej nie widział.

– Brent odpłynął z Oliverem godzinę temu – powiedziała zimno Corinne. – Może pojechała z nim.

– Pożegnała się z wami? – spytał ze ściśniętym gardłem.

– Nie, ale w tym tłumie ludzi... mnóstwo gości zostało na noc. O, idą Hallidaysowie, muszę z nimi porozmawiać. Przepraszam cię, Travis.

Czy Julie wyjechałyby z Brentem, nie pożegnawszy się z gospodarzami? Nie mógł w to uwierzyć. Ale jeśli nie wyjechała, to gdzie, u diabła, mogła być?

Sprawdził kort tenisowy i basen, potem zbiegł do

hangaru na łódzie. Mała łódź motorowa i cztery kajaki były na swoim miejscu. W jednym z nich znalazł okulary przeciwsłoneczne. Okulary Julie. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, odwrócił gwałtownie głowę, ale to nie była Julie, tylko jeden z pracowników opiekujących się terenem sportowym.

– Russel, czy dzisiaj rano ktoś brał kajak?

– Widziałem, jak jakąś godzinę temu pan Brent holował drugi kajak z Bear Island.

– Holował pusty kajak?

– Tak. A potem zabrał się na łódź z Oliverem.

– Sam?

– Z jakąś blondynką, sir.

To musiała być blondynka, która kleiła się do Brenta przez cały wieczór. Więc Julie nie wyjechała z nim.

– Dziękuję, Russel.

Pół godziny później Travis dopływał do Bear Island. Usiłując panować nad nerwami, powtarzał sobie, że Brent, mimo wszystko, był zbyt inteligentny, żeby uciec się do przemocy. Nie mógł skrzywdzić Julie i zostawić jej samej, bez możliwości powrotu. Więc co jej zrobił? Dlaczego przyholował pusty kajak? Julie nie była ofiarą losu i nie siedziałyby z założonymi rękami, pozwalając, żeby jego brat zostawił ją na bezludnej wyspie.

Travis wyminał przybrzeżne rafy i zobaczył przed sobą szeroki pas kamienistej plaży. Przybił do brzegu, wyskoczył z kajaka i wciągnął go na ląd poza zasięg fali.

Wreszcie spojrział w górę. Z cienia drzew wyłoniła się kobieta. Szła, utykając.

W pierwszej chwili poczuł tak ogromną ulgę, że zakręciło mu się w głowie. Julie była bezpieczna. Cała

i zdrowa. Dopiero teraz mógł przyznać się przed samym sobą, jak strasznie się o nią bał – mimo wewnętrznego przekonania, że Brent jest zbyt wyrachowany, żeby popełnić przestępstwo.

Następną naturalną reakcją był gniew. Pobiegł do niej przez plażę i spytał zduszonym głosem:

– Dobrze się czujesz? Nic ci się nie stało?

– Miło cię widzieć – powiedziała z bładym uśmiechem.

– Brent cię tutaj zostawił?

– Tak.

– Jeśli podniósł na ciebie rękę, obedrę go ze skóry.

– Nie zdążył. Uciekłam – odpowiedziała powściągliwie.

– Masz zranioną nogę.

– Potknęłam się i upadłam. Możemy wracać, Travis? Chce mi się jeść, pić, i marzy mi się prysznic.

– Za chwilę – powiedział dobitnie. – Możesz mi łaskawie wyjaśnić, co ty i Brent tu robiliście? Obiecałaś, że będziesz się trzymać od niego z daleka.

– Insynuujesz, że przypląnąłam tu razem z nim?

– Owszem, przyszło mi coś takiego na myśl.

– A dlaczego miałabym to zrobić?

– To ty mi powiedz.

– Przypląnąłam tu sama, żeby mieć trochę ciszy i spokoju przed śniadaniem. Brent musiał mnie zobaczyć i przypląnął za mną. Chociaż nie mam pojęcia, po co zadaję sobie trud, żeby ci to tłumaczyć, skoro wciąż masz o mnie jak najgorsze zdanie. Zabierz mnie z powrotem do Manatuck, Travis – natychmiast. I oszczędź mi zbędnych kazań.

– Gdybyś od początku trzymała się z daleka od Brenta, nie napytałabyś sobie biedy – powiedział z furją.

– I nie poznałabym ciebie. Co z pewnością wyszłoby mi na dobre.

– Twój policzek... Czy on cię uderzył?

– Powiedziałam ci – nawet mnie nie dotknął!

– Cholera, Julie, kiedy zobaczyłem w kajaku twoje okulary, wyobraziłem sobie, że zostałeś utopiona, zgwałcona, zamordowana...

Za dużo emocji, pomyślał, ochłonawszy. O wiele za dużo. Ale nie dało się tego cofnąć.

Julie wypuściła powietrze z długim westchnieniem.

– Jestem głodna, chce mi się pić i wszystko mnie boli. Nikt mnie nie utopił, nie zgwałcił ani nie zamordował. Więc dlaczego tu stoimy, wrzeszcząc jedno na drugie?

– Dlatego, że się cholernie o ciebie martwiłem.

– Przyjęłam to do wiadomości – burknęła. – Założę się, że kiedy wrócimy, nie będzie śladu po jajkach na bekonie.

– Powiem Bertramowi, żeby zamówił śniadanie specjalnie dla ciebie. Jest ci to winien, za trzymanie zapasowych kluczy w pokoju kredensowym.

– Naprawdę zrobiłbyś to dla mnie? – Julie wyraźnie się rozpogodziła.

– Zrobiłbym dla ciebie o wiele więcej.

– Wystarczą jajka na bekonie, dziękuję.

– Chcesz mnie odstraszyć?

– Nie wiem!

– Chodźmy.

– Uraziłam cię, prawda? – szepnęła. – Przepraszam, Travis, ja...

- Masz wybujałą wyobraźnię.
- Więc ciebie nie można zranić? Nie cierpisz jak zwykli ludzie?
- Skończyłem z tym dawno temu.
- Nie wierzę ci!
- Twój wybór. Tymczasem możemy się spierać do południa albo wrócić na Manatuck.
- Spieranie się z tobą to stracona sprawa – odparowała.
- Wracamy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Weszli do zamku bocznym wejściem i tylnymi schodami dotarli do skrzydła, w którym mieściły się ich pokoje.

– Poczekam, aż weźmiesz prysznic – powiedział Travis pod jej drzwiami – a potem obejrzę twoją nogę. Chyba nie chcesz, żeby w ranę wdało się jakieś zakażenie.

– Poradzę sobie z tym sama.

– Julie, jestem lekarzem – powiedział zimnym tonem.
– Nie mam zamiaru cię napastować.

– Masz praktykę w Portland?

– Tylko na lato. Zastępuję Marka MacDonalda.

– Jestem fizykoterapeutką, więc potrafię zrobić sobie opatrunek.

To była dla Trávisa nowa informacja. Odkąd poznał Julie, był tak rozkojarzony, że nie przyszło mu do głowy zadać kilku zwykłych pytań, na przykład o wiek albo o to, czym się zajmuje.

– Pracujesz w szpitalu? Dlaczego cię nigdy nie spotkałem?

– Mam tymczasowy kontrakt w Silversides, w prywatnej klinice za miastem.

Wiedziała równie dobrze jak on, że Silversides jest dla bardzo bogatych; wiedziała też, że u doktora MacDonalda leczą się ludzie dobrze sytuowani. Mogłaby mu opowiedzieć o prawdziwej pracy w krajach Trzeciego Świata;

tylko po co? Nie przewidywała dalszego ciągu ich znajomości.

– Pójdę po swoją torbę – powiedział. – Nigdy się z nią nie rozstaję.

– Jesteś jak wichur sztormowy. Nie ma na ciebie siły.

– Aha, możesz już nie bać się Brenta. Wyjechał z blondynką.

– To nie Brenta się boję – powiedziała nierozważnie i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Pod ciepłym prysznicem szczypały ją wszystkie rany i zadrapania. Umyła się błyskawicznie, włożyła sukienkę i wyszła z łazienki.

Travis siedział w swobodnej pozie na łóŜku, sprawiając wrażenie, że czuje się jak u siebie. Przebrał się w bawełniane spodnie i niebieską koszulę, rozpiętą pod szyją, z podwiniętymi rękawami.

– Zrób to szybko, jestem głodna – powiedziała, pokramiając pokusę, żeby rzucić się na niego.

Raz kozie śmierć, pomyślała, i usiadła obok, podciągając sukienkę powyżej kolana. O rzuceniu się na niego nie było mowy; jeszcze nie postradała rozumu.

Otarcie na kolanie wyglądało malowniczo i bolało jak diabli. Travis uklęknął przed nią, sterylną pincetą usunął kilka drobin kory, potem posmarował ranę maścią z antybiotykiem i założył bandaŜ. Julie przyglądała mu się w milczeniu, zafascynowana sprawnością jego długich, delikatnych palców. Musiał być dobrym lekarzem.

Musiał być dobrym kochankiem.

Ogarnęło ją podniecenie, tak silne, że z trudem trzymała ręce przy sobie.

– Zrobione. Miej na to oko – powiedział Travis, wstając z kłeczek.

Musiała mieć uczucia wypisane na twarzy. Z gardłowym pomrukiem pchnął ją na plecy, rzucił się obok niej na łóżko i z dziką, niepohamowaną zachłannością zaczął ją całować. Nie broniła się przed nim. Była otwarta i spragniona. Błądziła palcami po jego plecach, gładziła kark i muskularne ramiona. Kiedy Travis szarpnął za brzeg swojej koszuli, wsunęła pod nią ręce z jękiem ulgi. Wplotła palce w jego szorstkie włosy na piersi.

Całował ją z coraz większym zapamiętaniem, coraz bardziej głodny. Wreszcie zsunął z jej ramion sukienkę i odsłonił piersi. Kiedy ujął je w dłonie, wyprężyła się gwałtownie, oszołomiona doznaniem, których doświadczała po raz pierwszy w życiu.

Travis odsunął się od niej delikatnie i wsparł się na łokciu. Podciągnął wyżej jej sukienkę i wsunął palce między zaciśnięte uda.

Stłumiony okrzyk wydobył się z jej gardła.

– Julie... za moment nie będę mógł się powstrzymać. Czy na pewno tego chcesz?

Patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem, próbując odzyskać głos.

– Oczywiście, że chcę. Nie widzisz tego?

– Wakacyjny romans...

Wypowiedział te słowa w taki sposób, jakby chciał wypróbować ich brzmienie. Poprzedniego wieczoru powiedziała mu, że romans jest ostatnią rzeczą, na której jej zależy.

– Chcę cię tak bardzo, że zapomniałam o wszystkich powodach, dla których nie powinniśmy tego robić.

Odepchnęła go i usiadła, potem drżącą ręką podciągnęła górę sukienki, żeby zasłonić piersi.

– Myślałam, że dobrze siebie znam, dopóki nie pojawiłeś się ty. Nie jestem dziewczicą, Travis. Kiedy miałam dwadzieścia lat, poszłam do łóżka ze swoim kolegą ze studiów, bo chciałam się dowiedzieć, na czym polega seks. Nic specjalnego, doszłam do wniosku. Więc żyłam swoimi sprawami i było mi z tym dobrze. Nie chciałam się zakochać i dalej nie chcę. A już na pewno nie chcę wyjść za mąż. Umawiałam się oczywiście na randki. Z miłymi, atrakcyjnymi mężczyznami, z których wielu miało ochotę na niezobowiązujący romans. Ale ja do nich nic nie czułam. Żaden nie... Dopiero ty... – Julie przygryzła wargę. – Nie wiem, co jest w tobie innego. Kiedy mnie całujesz, o wszystkim zapominam, jesteś tylko ty. Widziałeś, jak się zachowywałam przed chwilą. Jak szalona! Ja nigdy taka nie byłam!

– A myślisz, że ja mam w zwyczaju napastować kobiety, które dopiero poznałem?

– Skąd mam wiedzieć?

– Cokolwiek to było, zadziałało i na mnie, jak tylko cię zobaczyłem.

– I za to mnie tak nie znosisz!

– Dlaczego nie chcesz się zakochać ani wyjść za mąż?

– Są dwa powody – powiedziała z gorzkim śmiechem.

– Mój ojciec i moja matka. I nic więcej ze mnie nie wyciągniesz. – Wstała gwałtownie z łóżka. – Przepraszam, jeśli cię sprowokowałam. Nie byłam w stanie się opanować. Schodzę na śniadanie, a potem wyjeżdżam z Oliverem.

– Oboje spędzimy lato w Portland. Na pewno się spotkamy.

– Zrobię wszystko, żeby do tego nie doszło.

– Więc to jest pożegnanie – powiedział głosem bez wyrazu.

– Za kilka dni zapomnisz o moim istnieniu. – Uśmiechnęła się blade. – Zobaczysz.

– Nie sądź mnie własną miarką!

Julie włożyła w pośpiechu sandały i rzuciła się do drzwi.

– Muszę iść!

– Może pora, żebyś zaczęła się zachowywać jak dorosła kobieta, zamiast szarpać się ze mną jak szczeniak na smyczy. Chcesz, żeby rodzice decydowali o twoim życiu do końca twoich dni?

– Niepotrzebnie mnie pocałowałaś, Travis.

– A wiesz, co mnie najbardziej złości? Że nie miałem wyboru!

– Wszyscy mamy jakiś wybór. Ja wybieram ucieczkę po to, żebyśmy nie narobili więcej szkód.

– Powiedzmy, że to nie jest tchórzostwo – zadrwił.

– Żegnaj, Julie... Miłego życia.

Z bezsilną furią zatrzasnęła za sobą drzwi i zbiegła na dół. Zatrzymawszy się przed progiem jadalni, doszła do wniosku, że kompletnie straciła apetyt. Rezygnując ze śniadania, postanowiła znaleźć Corinne i Charlesa. Byli na patio. Podziękowała im za gościnę i wróciła do swojego pokoju po torbę. Na przystani przy hangarze dowiedziała się, że Oliver odpływa za pięć minut.

Kiedy łódź, z nią i czwórką innych gości na pokładzie, oddaliła się od brzegu, Julie rzuciła ostatnie spojrzenie na

Manatuck. Ale to nie absurdalne wieże i wieżyczki przyciągnęły jej uwagę, tylko latarnia na północnowschodnim krańcu wyspy. Miejsce, w którym ciemnowłosy mężczyzna całował ją na trawie i zamienił w kobietę, której sama nie poznawała.

Kobietę namiętą, która bała się namiętności.

Wróciwszy do Portland, Travis położył się wcześniej do łóżka, spał źle trzecią noc z rzędu, a następnego dnia pracował na dziesięciogodzinnej zmianie w szpitalu. Potem przebrał się w dżinsy i T-shirt i poszedł do najbliższego sklepu, by kupić coś na obiad. Ze zmarszczonym czołem wybierał stek na grilla, gdy usłyszał kobiecy głos.

– Travis, to ty?

– Trish! – powiedział ciepło. – Jak się masz? Długo się nie widzieliśmy.

– Jedenaście albo dwanaście lat. – Przełożyła do drugiej ręki karton mleka, żeby się z nim przywitać.

Niewiele się zmieniła. Wciąż miała związane niedbale blond włosy i te same piwne oczy. Na ostatnim roku medycyny był z nią zaręczony.

– Masz czas na drinka? Albo na obiad?

– Na drinka – powiedziała, zerkając na zegarek. – Idę na obiad do teściów. Mój mąż wyjechał i dzieci są pod ich opieką.

Zapłacili za swoje zakupy i dziesięć minut później siedzieli w pobliskim pubie.

– Za przypadkowe spotkanie. – Travis podniósł szklanekę whisky. – Opowiedz mi o swoim mężu... i ilu dzieciach?

– Mam ich zdjęcie. – Uśmiechnęła się i pokazała mu

rodzinną fotografię: dwóch małych chłopców i dziewczynkę o twarzy aniołka; cała trójka miała jasne włosy i dołeczki w policzkach. Jej mąż, Tom, był wysoki, atletycznie zbudowany i miał sympatyczny uśmiech.

– Jesteś szczęściarą, Trish. Wspaniała rodzina.

– A ty? Jesteś żonaty?

– Nie, nie ożeniłem się. Od naszego zerwania z małymi przerwami włączę się po świecie.

– Więc wciąż jesteś wolny. Pamiętasz, co ci powiedziałam tamtego wieczoru, kiedy zerwałam zaręczyny?

– Że chcesz mężczyzny, który będzie w tobie po uszy zakochany. Czy Tom taki jest?

– Tak. Nawet po trójce dzieci i zwyczajnych małżeńskich wzlotach i upadkach. Wygrałam los na loterii.

– Miałaś rację, czekając na prawdziwą miłość. Powiedz, czy od razu wiedziałaś – spytał z nagłym ożywieniem – że to jest to, jak tylko poznałaś Toma? Czy to się działo stopniowo?

– Po tym, jak odszedłeś, chociaż byłam pewna, że postąpiłam słusznie, zrywając z tobą, długo byłam samotna. Więc wzięłam sobie psa ze schroniska, taką paskudę, której nikt inny nie chciał zaadoptować. Któregoś wieczoru spacerowałam z nim po parku nad stawem i pies zaczął się bawić z bardzo arystokratycznym collie. On zakochał się w collie, a ja w jego właścicielu. I... tak, wiedziałam od razu. Mogę ci powiedzieć, jak Tom był wtedy ubrany, co mówił, i jaka byłam wniebowzięta.

– I to przetrwało...

– Mówię ci, że wygrałam los na loterii. Nie wszystkim się udaje, Travis. Ale trzeba ryzykować. A w gorszych chwilach dawać z siebie naprawdę wszystko.

Travis patrzył posepnie w swoją szklanke.

– Poznałeś kogoś, prawda?

– Niezupełnie.

– Hej, przyznaj się.

– Poznałem tę kobietę w piątek i od tej pory hormony nie dają mi spokoju. Ale to tylko to. Zwykła chuć.

– Do zaspokojenia chuci wystarczy każda inna.

Nie chciał żadnej innej. Chciał Julie.

– Jedną z rzeczy, które w tobie podziwiałam, była uczciwość – powiedziała Trish. – Zawsze mówiłeś prawdę, nie owijając w bawełnę. Na pewno tego nie straciłeś?

– Ona doprowadza mnie do takiej wściekłości, że nie wiem, co jest prawdą!

– Może się w niej zakochałeś?

– Trish, ja nie wiem, czym jest miłość... czy nie to mi zarzucałaś wiele lat temu?

– Tak. Otwierałeś się przede mną, byłeś taki bliski, i nagle się wycofywałeś. Byłam młodsza, i miałam ustalony obraz świata, więc zarzucałam ci, że boisz się intymności. Straciłeś matkę i w wieku sześciu lat zdecydowałeś, że nie zaufasz nigdy więcej żadnej kobiecie. Teraz nie byłabym taka szczerą. Ani taka pewna, że mam rację.

– Prawdopodobnie miałaś jednak rację. Moja matka zniknęła z dnia na dzień. Nie pamiętam pogrzebu ani żeby nas odwiedzili jacyś krewni. Ojciec nie pozwalał wspominać jej imienia. A potem wysłał mnie do szkoły z internatem, jak gdyby nic się nie stało. Dwa lata później ożenił się z Corinne.

– Nic dziwnego, że boisz się komukolwiek zaufać. Ale jeśli ta kobieta jest tą właściwą, Travis, warto o nią walczyć. Warto walczyć o miłość – to chciałam

powiedzieć. Ale już się zamykam, a ty mi opowiedz o swoich przygodach.

Pół godziny później wyszli z pubu, życząc sobie nawzajem szczęścia. Travis wrócił do domu, który wydał mu się jeszcze bardziej pusty po tym, jak obejrzał zdjęcie rodziny Trish. I zaczął się zastanawiać, czy naprawdę chce spędzić w ten sposób resztę życia. Kolejne wynajmowane mieszkania, samotne wieczory po pracy...

Dotąd szczycił się swoją samowystarczalnością. Swoją niezależnością.

W tym tygodniu pracował dłużej niż zwykle i wziął bezpłatny dyżur w miejskim szpitalu. Znalazł też numer telefonu Julie, choć do niej nie zadzwonił. Ale prawie bez przerwy o niej myślał, o wiele za dużo, żeby odzyskać spokój ducha. Kiedy w piątek wieczorem zadzwonił telefon, rzucił się do słuchawki w absurdalnym przekonaniu, że to Julie.

– Cześć, Travis, tu Bryce. Co słychać, stary?

Zwykle cieszył się na głos Bryce'a; tym razem musiał przełknąć rozczarowanie jak gorzką pigułkę.

– W porządku... co u ciebie i skąd dzwonisz?

Bryce Larabee, milioner w pierwszym pokoleniu, który do wszystkiego doszedł własną pracą, był informatykiem i jako konsultant międzynarodowy w dziedzinie programowania bez przerwy podróżował po świecie.

– Z Bangkoku. Upał jak diabli. Jutro lecę do Hanoi. A ty, długo usiedzisz w miejscu?

Bryce był przekonany, że Travis nie wytrzyma w Portland dłużej niż trzy tygodnie.

– Praktyka jest okej, poza tym pracuję społecznie w miejskim szpitalu.

– Wiedziałem – zaśmiał się Bryce. – A dokąd cię poniesie we wrzeźniu?

– Rozważam kilka propozycji. Meksyk, koło Cuernavaki, albo Honduras. Mamy jakąś szansę spotkać się tego lata?

– Za miesiąc powinienem być w Stanach. – Bryce zrobił pauzę. – Mówiłeś, że może spróbujesz dogadać się z ojcem. Coś z tego wyszło?

Travis opowiedział w skrócie o przyjęciu i dość wątpliwym pogodzeniu się z Charlesem.

– To wszystko było jakieś śliskie, zbyt łatwe. Poza tym z jakiegoś powodu ojciec chce, żebym natychmiast wyniósł się z Portland. Nie mam pojęcia dlaczego.

– Ciekawe... Ale nie zamierzasz wyjechać?

– Nie, raczej nie.

Bryce, który dorastał w bostońskich slumsach, znany był z wyjątkowej bezpośredniości.

– Co jest grane? Czy naprawdę to cię tak gryzie? Coś jest z tobą nie tak.

– Poznałem kobietę.

– Poznajesz wiele kobiet, które chcą cię złowić i skaczą sobie nawzajem do oczu. Myślisz, że o tym nie wiem?

– Z tobą w tej konkurencji jestem na straconej pozycji.

– Dobra, więc co z tą kobietą?

– Gdybym to wiedział, nie siedziałbym teraz sam, w piątkowy wieczór, w tym cholernym mieszkaniu!

– Niedobrze, stary – mruknął Bryce po chwili milczenia.

Nikom Travis nie ufał tak jak swojemu przyjacielowi z dzieciństwa. W wieku lat dwunastu Bryce, jako sty-

pendysta, został przyjęty do szkoły z internatem, do której Travis uczęszczał od sześciu lat. W pierwszym tygodniu co najmniej trzy razy Travis uratował go przed wyrzuceniem, a potem wspólnie rozprawili się z czterema osiłkami, którzy terroryzowali cały internat.

– Pamiętasz minę Jeda Catharta – spytał ze śmiechem Travis – kiedy wyrzuciłeś na niego cały kubeł spaghetti?

– To były czasy, Travis. Wszystko było prostsze, wiadomo było, kto jest złym chłopcem... ale opowiedz mi o tej kobiecie. Imię, nazwisko, wiek i podstawowe wymiary.

Opowiedział mu całą historię, począwszy od burzliwego poznania się nad zatoką po równie burzliwe pożegnanie w jej sypialni.

– No i tak to wygląda – zakończył. – Nigdy w życiu nie uganiałem się za kobietami i nie mam zamiaru tego robić. Zresztą nic by to nie dało.

– Więc dlaczego się nie umówisz z tą pielęgniarką, o której mi opowiadałeś. Tą z dużymi niebieskimi oczami. Zdaje się, że jest chętna.

– Za wysoka, za jasna, nie ta figura, mam mówić dalej?

– Niedobrze z tobą – powtórzył Bryce.

– Przejdzie mi.

– Zakochałeś się w tej Julie?

– Skąd!

– Sam nie jestem kochliwy, więc nie znam objawów, ale ty się zachowujesz jak zakochany nastolatek. Wiesz, co powinienesz zrobić? Zadzwoń do niej. Albo dowiedz się, gdzie mieszka, i zapukać do jej drzwi. Zobaczyc ją jeszcze raz. Może się okaże, że wszystko to sobie

wymyśliłeś. Mówisz, że ma zielone oczy. I co z tego? Koty też mają zielone oczy, a nie wdychasz do żadnego kota.

– Ona ma koci wdzięk.

– I kocie pazurki. Travis, nie pozwolisz chyba, żeby zagmatwała ci życie.

– Myślisz, że przeszłoby mi, gdybym ją zobaczył?

– Warto spróbować. A może ona zmieni zdanie i sama się na ciebie rzuci.

– Marzenie ściętej głowy.

– A co masz do stracenia? Spróbuj.

Nie ma mowy, pomyślał Travis, kiedy kilka minut później odłożył słuchawkę. Nie miał zamiaru nachodzić Julie w jej domu. Jeśli go nie chciała, jej strata.

I z tym wojowniczym postanowieniem poszedł spać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W niedzielne popołudnie lało jak z cebra. Jakby Julie swoim pieskim nastrojem ściągnęła pieską pogodę. Jej rodzice mieli przyjść na kolację i resztę popołudnia musiała przeznaczyć na sprzątanie i gotowanie. Jej matka była pedantyczną gospodynią. Ale dlaczego, do diabła, myślała Julie, dzierżąc ścierkę do wycierania kurzu, czuła się w obowiązku zrobić generalne porządki przed przyjściem matki?

Lubiła swoje cztery kąty. Kiedy zdecydowała się zostać na kilka miesięcy w Portland, wynajęła małe mieszkanie na ostatnim piętrze starego ceglanego domu blisko przystani. Zappełniła cały balkon kwiatami, kupiła kilka ręcznie malowanych mebli i powiesiła na ścianach pamiętki z podróży. Poczowała się jak w domu.

Czuła się świetnie, dopóki nie wróciła z Manatuck.

Z dziką energią, która nie miała nic wspólnego z jej matką, Julie wpućowała na błysk wannę. Nie miała zamiaru myśleć o Manatuck. Ani o Travisie. Ani o tym, że jej ciało, obudzone przez Trávisa, nie chciało z powrotem zasnąć.

Szorowanie podłogi w łazience jako sublimacja popędu seksualnego, pomyślała z gorzkim uśmiechem i zaniósła wiadro do kuchni.

Sypialnia była wychuchana, łazienka nieskazitelnie czysta. W kilka minut uprzątnęła i odkurzyła pokój dzienny z aneksem jadalnym. Została kuchnia.

Deszcz spływał po szybach; nie widziała nawet portu. Piwo. Tego jej było trzeba. A potem do gotowania. Rano zrobiła sernik, więc deser miała z głowy. Na główne danie zaplanowała dość skomplikowaną marokańską potrawę z kurczaka.

Przynajmniej w pracy wszystko szło dobrze. Klinika okazała się miłym wytchnieniem od jej normalnej pracy; nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo stresujące były jej zagraniczne kontrakty, dopóki nie wróciła na lato do Portland. Poza tym miała kilku pacjentów, z którymi spotkania były czystą przyjemnością. Taka Abigail Masters, która znalazła jej to mieszkanie, paliła cygara i kłęła jak dorożkarz; Leonora Conolly, emerytowana tancerka, która opłaciła zdrowiem swoją karierę, ale znosiła to z humorem i wdziękiem; i Malcolm McAdams, sławny hodowca lili, który uparł się, żeby przychodzić na fizykoterapię ze swoim kotem Manksem.

To był prawdziwy odpoczynek od piekielnego skwaru, obcych języków i przytłaczającej biedy...

Julie nalewała piwo do szklanki, kiedy zadzwonił dzwonek. Krzywiąc się, podeszła do drzwi i spojrzała w wizjer.

Travis. Szklanka zadrżała jej w rękę i piwo wylało się na bluzkę. Spojrzała na siebie: bosa stopy, paskudnie obtarte kolano, obcięte dżinsy i znoszona koszula z brakującym guzikiem w najmniej stosownym miejscu.

A niech mnie zobaczy, pomyślała. To go powinno ostudzić.

Otworzyła drzwi. Włosy miał przyklepione do głowy, z płaszcza kapąła woda na wycieraczkę. Trzymał w dłoniach sfatygowany bukiet pachnących groszków.

– Skąd się dowiedziałeś, gdzie mieszkam? – Ruszyła prosto do ataku.

– Spytałem jednego z kolegów z Silversides. Zaprośisz mnie do środka?

Nogi miała jak z waty i zaschło jej w ustach.

– Dlaczego miałabym to zrobić? Podaj mi chociaż jeden powód.

– Dlatego, że tego chcesz.

– Jesteś cały mokry. – Nic bardziej oryginalnego nie przyszło jej do głowy.

– Pada deszcz, a może nie zauważyłaś?

– Sprzątam. Widzisz, w jakim jestem stanie...

Travis zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

– Jesteś ostatnia na liście? – spytał, tłumiąc śmiech.

– Po kuchni. Lepiej wejść i zdejmij ten mokry płaszcz.

Kiedy powiesiła płaszcz na wieszaku, wręczył jej kwiaty.

– To dla ciebie. Kupiłem je na targu, więc trochę zmokły.

Często chodziła na targ, który znajdował się kilka przecznic od jej domu.

– Gdzie mieszkasz? – spytała podejrzliwie.

Przeszedł przez cały pokój do okna i przetarł szybę.

– Stąd powinnaś widzieć mój dom. Drugie osiedle bloków.

W pogodny dzień miałyby widok na jego okna. Tylko tego jej było trzeba.

– Napijesz się piwa?

– Chętnie.

Kiedy wróciła z kuchni z drugą szklanką, Travis rozglądał się po pokoju z uznaniem w oczach.

– Czy te rzeźby pochodzą z Bali?

Skinęła głową.

– A poduszki z bazaru w Kalkucie?

– Owszem.

– Dużo podróżowałaś.

– Od kilku lat jestem na zagranicznych kontraktach.

Przyjechałam do domu na lato, bo moja matka miała lekki zawał.

Wzięła do ręki figurkę żyrafy, którą kupiła w Tanzanii.

– Gdzie pracowałaś? – Kiedy jednym tchem wymieniła kilka krajów, dodał ze zdumieniem: – Nic o tym nie mówiłaś.

– Rzadko opowiadam o tym, co robię. To wprawia ludzi w zakłopotanie.

– Więc ty też to zauważyłaś... Widzisz, ja robię podobne rzeczy. – Travis wymienił nazwę międzynarodowej organizacji, dla której pracował przez ostatnie dziesięć lat, ustalając, że opuścił Tanzanię rok przed przyjazdem do niej Julie.

– Myślałam, że jesteś bogatym lekarzem, który zajmuje się bogatymi ludźmi.

– Ja też myślałem, że żyje ci się jak u Pana Boga za piecem.

– Wiesz, co gadają ludzie o takich jak my. Siostra miłosierdzia, samarytanin z kompleksem zbawcy świata...

– Obrońcy uciśnionych. Burzyciele status quo.

– Dziwadła, nawiedzone świry i neurotycy.

– To niełatwa praca, prawda, Julie? – Uśmiechnął się ciepło, dopijając piwo.

– Nie. Chcesz jeszcze jedno?

– Jasne. – Wszedł za nią do kuchni. – Pomogę ci pozmywać naczynia.

Miała wrażenie, że jej mała kuchnia stała się trzy razy mniejsza. Oszołomiona, podniosła groszki i zanurzyła w nich twarz.

– To moje ulubione kwiaty.

– Ciekawe, że wybraliśmy sobie taki sam rodzaj pracy... czyli mamy wspólny system wartości.

– I co z tego? – odburknęła. – Co ty kombinujesz, Travis?

– Okej, bez owijania w bawełnę. Wiesz, dlaczego tu jestem?

– Nie bardzo.

– Więc powiem ci. Myślałem o tobie przez cały tydzień, w dzień i w nocy. Będę szczery – miałem nadzieję, że jeśli tu przyjdę i zobaczę cię jeszcze raz, dojdę do wniosku, że nie ma w tobie nic wyjątkowego, że sobie coś ubzdurałem.

Spojrzała na siebie z drżącym uśmiechem.

– No i udało się. Masz swój dowód.

– Żebyś nie wiem jak wyglądała, jak była ubrana, to nie miałoby znaczenia – powiedział z tłumioną zapalczliwością. – W momencie, kiedy otworzyłaś drzwi, wiedziałem, że nic się nie zmieniło.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała ostrożnie, trzymając się kurczowo kuchennego blatu.

– Cholera, nie wiem. – Przechesał palcami mokre włosy. – Pragnę cię teraz równie mocno, ja pragnąłem na Manatuck. Chyba to chcę powiedzieć.

Intensywność jego spojrzenia wprawiła ją w lekki dygot. Sięgnęła do lodówki po piwo, niechcący ocierając

się o jego rękę. Zapomnieli o piwie. Jej ręka zawisła w powietrzu, potem bardzo wolno opadła na jego ramię. Julie zamknęła oczy, i wszystko poza nim przestało istnieć. Więc pożądanie naprawdę istniało. Było jak ogień, pałace, żywe i nieposkromione.

– Julie... – powiedział zdławionym głosem.

Wtuliła twarz w jego tors, wdychając ten jedyny, niepowtarzalny zapach, który rozpoznałaby na końcu świata. Potem podniosła wzrok, ujęła w dłonie jego twarz i pocałowała go w usta.

– Kochaj się ze mną, Travis – wyszeptwała. – Teraz.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo tego chcę – powiedział z wilczym głodem w oczach i wziął ją na ręce.

Rozbierał ją wzrokiem. Czuli pod policzkiem mocne bicie jego serca, we włosach ciepło jego oddechu.

– Z przedpokoju na prawo – powiedziała, kiedy prześliznęła się przez drzwi, i dodała z chichotem: – Rzadko mam w sypialni taki porządek.

Travis ułożył ją na łóżku i przykrył swoim ciałem, wspierając się na łokciach. Zastygł w bezruchu, a potem bez ostrzeżenia, niczym sokół na upatrzoną ofiarę, opadł wargami na jej usta. Całował ją długo i gwałtownie, aż Julie zaczęła drżeć. Była u kresu wytrzymałości, traciła oddech, miała błaganie w oczach.

Dopiero wtedy ją rozebrał, powoli i ostrożnie, a potem z nagłym zniecierpliwieniem zrzucił ubranie z siebie.

– Uważaj na moje kolano, ciągle boli – powiedziała z nerwowym śmiechem, przyciągając go z powrotem i kusząc wilgotnymi, lekko obrzmiałymi wargami.

Nowy pocałunek zdawał się trwać bez końca i wraz z nim przestała istnieć dawna Julie.

Zawisł nad nią bez ruchu, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Travis, błagam cię...

Westchnęła z rozkoszą, garnąc się do niego, poruszając biodrami, aż ogarnęło ją uczucie tak doskonałej pełni, że nie wiedziała, gdzie kończy się ona, a gdzie zaczyna on.

Nagle zaczęła czuć wszystko dotkliwiej, niemal boleśnie.

– Travis... och, Travis...

– Kochanie...

Zaczął przyspieszać. Julie zamarła na moment, a potem wyprężyła się jak struna, wykrzykując jego imię. Travis zatrzymał się raptownie. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, stłumiony okrzyk spełnienia odbił się echem w jej uszach. Wreszcie opadł na nią bezwładnie.

Julie leżała nieruchomo i przez kilka minut nie mogła wydusić z siebie słowa. Powoli wracając do siebie, czuła dwa serca bijące jak jedno, i ogarnął ją taki spokój i szczęście, jakiego nie zaznała nigdy dotąd. Znowu jestem w domu, myślała. Po tylu latach i wielu tysiącach przebytych kilometrów znowu jestem w domu...

– Julie... – Travis uniósł głowę. – Przepraszam, zanim się zaczęło, było po wszystkim... Mam nadzieję, że nie żałujesz – powiedział z leniwym uśmiechem.

– Może to ja powinnam przepraszać. Chciałam cię tak bardzo, że nie mogłam się powstrzymać.

Travis uśmiechnął się.

– A może zapomnimy o słowie „przepraszam” i damy sobie drugą szansę? Za pięć minut.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Czuję się, jakbym nadrabiał lata głodu – wyszeptał Travis, tuląc ją w objęciach.

– Ja się czuję, jakbym wpadła w jakieś sidła – powiedziała. – Nie miałam pojęcia, że może być tak cudownie.

– Spójrz na mnie, Julie.

– Travis, ja... – W wyrazie jego twarzy było coś, co poruszyło ją do głębi serca. I wywołało odruch paniki.

– Chcę, żebyś o czymś wiedziała – nigdy w życiu nie kochałem się tak jak z tobą. Wyobrażałem sobie, że będę cierpliwy i delikatny, że zrobię wszystko, żeby było ci dobrze. Ale i za pierwszym, i za drugim razem kompletnie straciłem nad sobą panowanie. To do mnie niepodobne... zatracić się w ten sposób.

– Ja też siebie nie podejrzewałam o taki amok – powiedziała z przesadną swobodą, próbując zapanować nad emocjami, które ją niepokoiły.

Ku jej ogromnej uldze Travis uśmiechnął się.

– Możemy spróbować jeszcze raz. Chociaż tym razem będziemy musieli odczekać trochę dłużej niż pięć minut. Jestem tylko człowiekiem... Wiesz co? Może bym cię zabrał na kolację? Potem moglibyśmy wrócić i kochać się całą noc. Albo pójść do mnie.

– Kolację... Powiedziałeś: kolację? – Julie poderwała się jak oparzona. – Kurczak po marokańsku. O Boże!

– Co się stało? – Travis chwycił ją za nadgarstek.
– Chyba myśl o kolacji ze mną nie jest tak przerażająca?

– Moi rodzice przychodzą na kolację. Muszę zrobić wykwintne danie z kurczaka. – Zerknęła na budzik, zeskakując z łóżka. – Mam trzy kwadranse.

– Pozmywam naczynia, a ty zabieraj się do gotowania.

– Słucham? – Spojrzała na niego, jakby powiedział coś niedorzecznego. – Chcesz zostać na kolację z moimi rodzicami?

– Dlaczego nie?

– Mowy nie ma! Nie dopuszczę ich do ciebie bliżej niż na kilometr. Idź już, Travis, proszę cię.

– Julie, co jest nie tak z twoimi rodzicami? – Ścisnął ją jeszcze mocniej za rękę.

– Nie mam teraz czasu na opowiadanie ci historii swojego życia. – Jęknęła rozpaczliwie. – Oni są zawsze punktualni. Co do minuty. Spojrzą tylko na mnie i będą wiedzieli, co robiłam przez całe popołudnie. Jak mogłam zapomnieć o tej nieszczęsnej kolacji?

– Zapomniałaś, bo robiliśmy coś ważniejszego.

Nawet nie mogła się z nim spierać. Przecież to ona się na niego rzuciła.

– To twoja interpretacja.

– Chcesz, żebym się stąd zmył? – Puścił gwałtownie jej rękę. – W tej chwili?

– Oczywiście!

– Nie ma w tej sprawie żadnego „oczywiście”. Nie z mojego punktu widzenia. Przed chwilą się kochaliśmy, a ty chcesz mnie wyrzucić za drzwi, żeby nie zobaczyli mnie twoi rodzice i nie pomyśleli, że byłaś z mężczyzną. Ile ty masz lat, na litość boską?

– Trzydzieści – mruknęła, zbierając z podłogi ubranie.
– Jakie to ma w tej chwili znaczenie? Pospiesz się, Travis.

– Chwileczkę – powiedział ze złością i chwycił ją za ramiona. – Kochaliśmy się i to dla mnie coś znaczy. Nie mam zamiaru stąd wyjść, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Pogadamy jutro po pracy. Możemy się spotkać w parku, albo w kawiarni, gdziekolwiek, wszystko mi jedno. Ale spotkamy się. I zaczniesz mówić, Julie. Powiesz mi, dlaczego nigdy nie miałeś stałego chłopaka, i jaki to ma związek z twoimi rodzicami. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Niełatwo było zachować spokój i trzeźwość umysłu, mając przed sobą rozwścieczonego i kompletnie nagiego mężczyznę; ale Julie stanęła na wysokości zadania.

– To twoje plany na jutro – powiedziała zimno. – Nie spytałeś o moje.

– Nie obchodzi mnie, czy masz już jakieś plany. Jeśli tak, zmień je – warknął i schylił się, żeby podnieść swoje rozrzucone ubrania.

Julie odwróciła wzrok od jego barczystych pleców. Wciąż była podniecona. Jak to możliwe? Co się z nią działo?

Czyżby była seksualną maniaczką?

– Ja... Myślę, że nie powinniśmy się więcej spotykać.

– Mogłabyś to powtórzyć?

– Słyszałeś.

– Byliśmy ze sobą tak blisko, a teraz chcesz, żebym zniknął z twojego życia?

– Tak.

Nie odwracając wzroku od jej twarzy, Travis włożył koszulę.

– Nie sądzisz, że dwoje ludzi powinno mieć udział w takiej decyzji?

– Właśnie dlatego, że nie chcę być częścią jakiejś pary, podejmuję taką decyzję.

– Musisz udawać taką zimnokrwistą?

– Staram się unikać rozczarowania w przyszłości!
– krzyknęła. – Mojego i twojego.

– Pozwól, że o siebie sam będę się martwił. Ty szukasz gwarancji, Julie, w tym cały problem. Nie ma żadnych gwarancji, jeszcze się tego nie nauczyłaś?

– Nie chcę żadnych trwałych związków... więc po co mielibyśmy się dalej spotykać? Wcześniej czy później oboje byśmy cierpieli.

– Nie rozumiem. Żyłaś w Indiach i w Tanzanii, a boisz się nawet najmniejszego ryzyka w życiu osobistym. Jakich ty masz rodziców?

– Takich, którzy są najlepszą reklamą życia w pojedynkę – odparowała. – Travis, mam prawo powiedzieć, że nie chcę się z tobą więcej spotykać, i korzystam z tego prawa.

– Odrzucasz możliwość zakochania się, wyjścia za mąż... Czy w ten sposób chcesz przeżyć resztę życia?

– Tego dnia, kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś, że należenie do kogokolwiek jest wbrew twoim zasadom!

– Może się zmieniłem.

– To twój problem. Byłoby lepiej, żeby do niczego między nami nie doszło. Byłam głupia, że cię tu wpuszciałam.

– To z twojej inicjatywy wylądowaliśmy w łóżku.

– Popelniłam błąd!

– Więc to, co dla mnie było jak trzęsienie ziemi, dla ciebie było tylko błędem?

– Przestań! Mam tego dosyć. Po prostu odejdz i zostaw mnie samą, Travis – nie proszę cię o nic więcej.

– Spokojna głowa, załatwione! – powiedział z furją.

Otworzyła szafę, ściągnęła z wieszaków spódnice i bluzkę. Znów się trzęsła. Tylko że teraz to nie miało nic wspólnego z pożądaniem.

Niewyraźnie, jak gdyby te dźwięki dochodziły z innego świata, usłyszała skrzywienie butów na wycieracze, a potem trzaśnięcie drzwi.

Poszedł sobie.

Była pewna, że postąpiła właściwie. I co z tego? Jedyne, na co miała ochotę, to rzucić się na łóżko i wypłakać oczy.

Z bezsilnym jękiem wpadła do łazienki i odkręciła prysznic. Dziesięć minut później pobiegła do kuchni. Kurczak po marokańsku nie wchodził w grę. Miała czas na pozmywanie naczyń, przeciągnięcie mopem podłogi i podgrzanie gotowego sosu do makaronu. Całe szczęście, że upiekła rano sernik.

Zanim to wszystko się wydarzyło. Zanim nieodwracalnie zmieniło się jej życie.

Nie mogła teraz myśleć o Travisie. Nie mogła sobie na to pozwolić.

Kiedy dwadzieścia minut później zadzwonił dzwonek, kuchnia była czysta, sos wzbogacony o świeże owoce morza. Zdażyła też zagrzebać głęboko w śmieciach bukiec pachnących groszków, które przyniósł jej Travis.

Wzięła długi, głęboki oddech i otworzyła z rozmachem drzwi.

– Cześć, mamó, cześć, tato – powiedziała, nadstawiając policzek do pocałowania. Jej rodzice nie uznawali powitalnych uścisków.

– Masz rozpaloną twarz, Julie, dobrze się czujesz?
– spytała matka.

– Oczywiście, że dobrze się czuje – powiedział serdecznie ojciec. – Jesteś taka jak ja, zawsze zdrowa. Prawda, Julie?

To był mało subtelny przytyk do Pearl, której towarzyszyła w życiu różnorodność chorób, wiele z nich poważnych.

– Co za okropny dzień... – Pearl zignorowała komentarz swojego męża. – Och, nie zdążyłaś nakryć do stołu?

– Wpadli do mnie niespodziewanie znajomi, więc przepraszam, ale nie jestem całkiem gotowa.

Jej matka skierowała kroki prosto do kuchni.

– Pasta z owocami morza... jak miło. A słyszałaś, że coś jest nie tak z tutejszymi przegrzebkami? Jakiś porost alg, coś takiego.

– Nie, nie słyszałam. Mogę ci nalać kieliszek wina?

– Wolę sok owocowy, kochanie. To o wiele zdrowsze.

– A wiesz, dlaczego Francuzi żyją dłużej? – wtrącił się Thomas Renshaw. – Czerwone wino zmniejsza ryzyko zawału.

– Mam tylko białe, tato – powiedziała oschle Julie.

– Gdybyś miała czerwone, chciałby białego. Prawda, kochanie? – Pearl zaśmiała się drwiąco.

Julie już była wyczerpana.

– Tato, mógłbyś rozłożyć sztucce?

Sama włożyła do piekarnika kilka bułek i wyjęła z lodówki składniki do sałatki. Pearl postanowiła skorzystać z chwilowej nieobecności męża.

– Twój ojciec źle wygląda, ale nie chce iść do lekarza... żebyś wiedziała, kochanie, co ja z nim mam.

– Na pewno mi o tym opowiesz, mamó.

– Cóż... – Pearl westchnęła z teatralną przesadą. – Jesteś moim jedynym dzieckiem, komu innemu mogę opowiedzieć?

Czy ty kochasz swojego męża? – Julie miała to pytanie na końcu języka, ale jak zwykle machnęła ręką. Po co było pytać? Odkąd pamiętała, jej rodzice żyli w stanie cichej wojny. Żadnych otwartych kłótni, żadnych prób wyjaśnienia nieporozumień; tylko nieustanne wzajemne docinki, których Julie nienawidziła. Zmarszczki niezadowolona twarzy starannie wypielęgnowaną twarz jej matki, w wyblakłych oczach ojca nie było śladu radości ani nadziei.

– Na deser zrobiłam fantastyczny sernik, będzie ci smakował – powiedziała z wymuszoną wesołością.

– Ma na pewno za dużo kalorii.

– Szybko je spalisz. Poza tym użyłam składników z obniżoną zawartością tłuszczu.

– Kiedy będziesz tyle lat po ślubie, co ja, będziesz musiała dbać o swój wygląd. Julie, uważaj na makaron, gotuje się na zbyt dużym ogniu.

Gdy dziesięć minut później usiedli do stołu, deszcz nadal bębnił w szyby.

– Może ci uszyć jakieś zasłony, Julie? – zaproponowała Pearl. – Każdy może tu zajrzeć przez okno.

– To trzecie piętro, mamó... poza tym za kilka miesięcy mnie tu nie będzie, szkoda wysiłku.

– Oczywiście, wyjedziesz przed zimą... Im jestem starsza, tym bardziej nie cierpię zim. Bardzo za tobą tęsknię, kochanie, kiedy jesteś daleko od nas.

Nie zostanę w Portland, za nic, myślała gorączkowo

Julie, z poczuciem winy, które ścisnęło ją za gardło. Powinna być lepszą córką: być bliżej domu, bardziej interesować się losem rodziców. Ale mieszkała z nimi osiemnaście lat, i żadne z nich nie było wtedy szczęśliwsze.

Ciekawe, co Travis pomyślałby o jej rodzicach? Czy gdyby się z nimi spotkał, zrozumiałby, dlaczego go wyrzuciła?

– Jesteś jakaś nieswoja – zauważył przy deserze ojciec. – Czy jest coś, o czym nam nie powiedziałaś?

O tak, pomyślała ze złością. Mnóstwo rzeczy.

– Jestem trochę zmęczona, to wszystko.

– Nie wiem, dlaczego wzięłaś tę pracę na całe lato – powiedziała matka. – Mogłabyś spędzić więcej czasu z nami.

– Potrzebuję pieniędzy. Dolać ci kawy, tato?

Po kolacji Pearl uparła się, że pozmywa naczynia, potem razem obejrzel program przyrodniczy i w końcu rodzice wyszli.

Julie wróciła do pokoju. Może powinna pozwolić Travisowi zostać na kolacji? Może to byłby najprostszy sposób na wyjaśnienie mu, dlaczego jest zjadłą przeciwniczką stałych związków? Kiedyś nawet zasugerowała matce, że skoro jest taka nieszczęśliwa, to może powinna się rozwieść. Urażona Pearl wygłosiła kazanie na temat świętości przysięgi małżeńskiej, specyfiki kobiecej doli i dożywnych obowiązków macierzyńskich. Julie nigdy więcej nie wspomniała o rozwodzie.

Krażyła nerwowo po mieszkaniu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nie mogła iść na spacer, bo ciągle lało. Nie musiała odkurzyć mieszkania, bo było dokładnie wy-

sprzątane. Zmusiła się do pójscia do łóźka, ale kiedy przyłóżyła głowę do poduszki, poczuła zapach Trávisa. Z zaciśniętymi pięściami, użyla całej siły woli, żeby nie wybuchnąć płaczem. Dokonała własciwego wyboru, jedynego moźliwego wyboru, wyrzucając Trávisa ze swojego życia.

Tak trzymaj, Julie.

Zamknęła oczy i zaczęła liczyć papuźki, co – doszła do wniosku dawno temu – było znacznie barwniejszym sposobem na zaśnięcie niż liczenie owiec.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Najgorsze były samotne wieczory w domu. We wtorek Julie zrozumiała, że podświadomie cały czas miała nadzieję, że Travis zadzwoni.

Zadzwoniła jej matka, pielęgniarka z kliniki i fryzjer. Travis nie dawał znaku życia.

Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że jest na niego wściekła nie za to, że się nie odzywa, tylko że tak łatwo się poddał.

W czwartek wieczorem zadzwonił telefon. Matka, pomyślała smętnie, podnosząc słuchawkę.

– Halo?

– Tu Travis.

Beznadziejnie, rozpaczliwie stęskniona, chłonęła jego głos.

– Powiedziałam, żebyś zostawił mnie w spokoju.

– Nie zawsze robię to, co mi każą. Myślałem, że znasz mnie na tyle, żeby o tym wiedzieć. Jakie masz plany na weekend?

– Żadnych. Ani związanych z tobą, ani z nikim innym.

– A z kim innym byłeś w łóżku od ostatniej niedzieli?

– Z pięcioma facetami każdej nocy. We wtorek z sześcioma.

– Więc nie masz czasu, żeby zjeść ze mną w sobotę kolację?

– Nie mam.

– Twoja strata – powiedział radośnie i przerwał połączenie.

Zdziwiona i rozczarowana, wsłuchiwała się w głuchy szum w słuchawce. Poddął się zbyt łatwo, i nawet nie był specjalnie zmartwiony. Zupełnie inaczej niż w niedzielę.

Przeszło mu. Szybko.

Powinna być zadowolona. Nigdy więcej nie chciała znaleźć się w jednym pokoju z Travisem. Ale też nie chciała, żeby zapomniał o niej zbyt szybko. Czy była w tym jakaś logika?

Travis wsiadł do samochodu i ruszył do kliniki, spoglądając na zegarek. Doskonała pora.

Miał precyzyjny plan działania, ale wiedział, że Julie ma swój rozum; może nawet nie wsiądzie do samochodu, nie mówiąc o tym, żeby dała się gdzieś zabrać.

Jego zadaniem było ją do tego przekonać. Nie należał do tych, którzy poddają się bez walki. Odsunął od siebie myśl, że może to, co robi, jest waleniem głową o mur, że Julie jeszcze raz da mu kosza.

Nie wierzył, że naprawdę nie chce go nigdy więcej widzieć. Jej niewinność, speszone oczy, kiedy jej dotykał i budził w niej pożądanie. Jej zniewalająca szczerość, bezgraniczne oddanie... Zacisnął ręce na kierownicy. Przysięgłby na cały stos Biblii, że był pierwszym mężczyzną, który pobudził ją do życia. Więc miał się teraz wycofać i pozwolić jej wrócić do stanu letargu? Wszystko z powodu jej rodziców?

A może był tylko zadufanym idiotą, który nie potrafił zaakceptować słowa „nie” i którym powodowała zraniona męska duma?

Jedynym słowem, które wykluczał ze swoich kalkulacji, było niezręczne słowo „miłość”. Kiedy Bryce go spytał, czy jest w Julie zakochany, natychmiast zaprzeczył. Mieszanka wybuchowa żądz, frustracji i tęsknoty nie miała nic wspólnego z miłością.

Chociaż skąd mógł wiedzieć? Zdecydowanie nie był ekspertem w tej dziedzinie. Podobnie jak Julie.

Zatrzymał się przed bocznym wejściem do kliniki, najbliższym oddziału fizykoterapii. Wiedział, o której Julie kończy pracę i że jeździ do pracy autobusem.

Po dwudziestu długich minutach oczekiwania otworzyły się drzwi. Ciemnowłosa kobieta w śnieżnobiałym szpitalnym mundurku zbiegła po schodach.

Travis wysiadł z samochodu. Julie zauważyła go natychmiast i stanęła jak wryta. Na jej twarzy malowały się mieszane uczucia, ale był niemal pewien, że dostrzegł też błysk radości.

– Cześć, Julie. Przejeżdżałem tędy i pomyślałem, że może podrzucę cię do domu.

– Masz tu jakichś pacjentów? – spytała podejrzliwie.

– Czasami jestem proszony na konsultację. – Przy najmniej to było prawdą, pomyślał. – Wskakuj, podwiozę cię.

– Jestem zmęczona – przyznała, wolno podchodząc do samochodu.

– Jeszcze jeden powód, żeby skorzystać z podwiezienia – powiedział lekkim tonem, otwierając drzwi.

– Po tym, co robiłam w Afryce, myślałam, że ta posada będzie dla mnie synekurą – westchnęła, zapiąwszy pasy. – Ale to naprawdę ciężka praca. Chociaż bardziej intratna, niż się spodziewałam.

Kiedy wyjechał z bocznej drogi, zadał jej kilka fachowych pytań, ogromnie uradowany, gdy zagłębiła się w dyskusję o nowych kontrowersyjnych metodach terapii. Przy parku zamiast skrócić w lewo, skrócił w prawo; dopiero pięć minut później Julie zauważyła, że coś jest nie tak.

– Nie jedziesz do Starego Portu... to jest kierunek na Most Weteranów.

– Tak. Porywam cię.

– Co?

– Jest lato. Ani ty, ani ja nie mamy żadnych planów, a kilka kilometrów stąd na południe jest piękny morski kurort.

– Chcesz mnie stąd wywieźć na weekend?

– Właśnie.

– Zwariowałaś?

– W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo.

– Nigdzie nie jadę!

– Zrelaksuj się, Julie.

– Nie mów mi, co mam robić. Wsiadam na najbliższych światłach.

– Zrobisz, co zechcesz. Ale jeśli naprawdę nie chcesz wyjechać, odwiezę cię do domu...

– Jasne! Myślisz, że wierzę choćby w jedno twoje słowo.

– Jeśli jesteś święcie przekonana, że nie chcesz zmienić w sobie absolutnie niczego, odwiezę cię prosto do domu – powiedział surowym głosem. – Przysięgam.

– Już coś zmieniałam! W niedzielę, kiedy zaciągnęłam cię do łóżka. A potem zachowywałam się jak jakaś seksualna maniaczka... Nigdy wcześniej taka nie byłam!

Nigdy! – Oczy zaszyły jej łzami i ledwie panowała nad głosem.

– Julie, wiem o tym.

– Wierzysz mi?

– Oczywiście, że wierzę. Na litość boską, to ze mną byłaś w łóżku. Wiesz, jak dużo się o tobie dowiedziałem, kiedy się kochaliśmy?

– Tak?

– Niewinna, ufna, oddana, szalona... Taka byłaś, a potem pokazałaś mi drzwi szybciej, niż teraz wymawiasz słowo „łóżko”.

Wyjęła z torebki chusteczkę i wytarła nos.

– Bo to wszystko mnie przeraża. To, jak na mnie działasz.

– Myślisz, że ja się nie boję?

– Daj spokój, Travis. Ty się boisz?

– Nigdy w życiu nie próbowałem porwać żadnej kobiety. Nigdy nie chciałem, aż zjawiała się ty. Posłuchaj mnie przez chwilę. Kiedy miałem sześć lat, zniknęła moja matka... wieczorem układała mnie do snu, a rano już jej nie było. Usłyszałem, że jest w Nowym Jorku, ale kilka dni później mój ojciec powiedział, że umarła. Nie pamiętam żadnego szczegółu z pogrzebu ani żeby odwiedzili nas jacyś krewni. Kiedy próbowałem pytać, gdzie ona jest, ojciec powiedział, żebym nigdy więcej nie wspominał jej imienia. Potem wysłał mnie do szkoły z internatem koło Bostonu. Straciłem więc też wyspę, która była dla mnie rajem dzieciństwa. Coś się wtedy we mnie zamknęło, i przypuszczam, że można by to nazwać miłością. Nie wiem, co do ciebie czuję, Julie. Wiem tylko, że jest to

silniejsze niż wszystko, co czułem do tej pory, i że jeśli się od tego odwrócę, stracę coś na zawsze. A może stracisz i ty.

Zabrakło mu słów. Ale stał dwie minuty na czerwonym świetle i Julie nie wysiadła z samochodu.

– To było szczere – powiedziała beznamytnie.

– Nie pytaj, dlaczego tak nas do siebie ciągnie, bo nie znam odpowiedzi – mruknął szorstko. – Ale to musi coś znaczyć. Więc nie uciekaj, Julie. Życie jest na to za krótkie.

– Namytność – szepnęła. – To takie wyświechtane słowo i naprawdę nie wiedziałam, że jestem do tego zdolna.

– Jeśli spędzisz ze mną weekend, nie wiadomo, dokąd nas to zaprowadzi. Ale alternatywą jest koniec, pogrzebanie czegoś cennego i rzadkiego. Myślę, że nie powinniśmy tego robić.

– Nie mam się w co przebrać.

– Kupiłem ci kilka rzeczy. – Uśmiechnął się. – W nadziei, że dasz się porwać.

– Co? Kupiłeś mi ubranie? Skąd znałeś mój rozmiar?

– Pamięć fotograficzna – powiedział z powagą, patrząc, jak Julie oblewa się rumieńcem.

– Boję się, Travis.

– Zrobię wszystko, żebyś przynajmniej przez ten jeden weekend była szczęśliwa.

Pół godziny później zameldowali się w recepcji hotelowej, a potem wąską leśną drogą pojechali do swojego domku. Położony na samym krańcu kurortu, był osłonięty gęstwiną sosen i miał szeroki taras z wyjściem na pomost.

– Piękne miejsce – powiedziała cicho Julie.

– Może pójdziemy na kolację, musisz być strasznie głodna.

Weszli do środka i Travis wręczył Julie torbę z ubraniami.

– Mam nadzieję, że ci się spodobają.

– Są piękne... – Wyjęła sukienki z rozpromienioną twarzą. – Musiałeś na nie wydać majątek...

– Możemy porozmawiać o tym później... Zaczekam na pomoście.

Patrzył na rozmigotane w słońcu fale, marząc, żeby wziąć ją w ramiona i usłyszeć, że naprawdę chciała tu być. Nie ponaglał jej, Travis, masz cały weekend. Doskonale wiesz, co się stanie, jeśli jej dotkniesz.

Kiedy wrócił do środka, Julie wyłoniła się z łazienki w sukience, która była zielona jak jej oczy.

– Idziemy? – spytała. – Naprawdę jestem głodna.

Wrócili do hotelu. Sala restauracyjna mieściła się na ogromnym tarasie z widokiem na zatokę i zachodzące słońce. Rozmawiali o menu, liście win, pogodzie, jego i jej pracy, racząc się zupą rybną i potrawą z kurczaka z dzikim ryżem. Kiedy kelner zebrał talerze i podał im menu deserowe, Julie rozgadała się na temat swojego uzależnienia od gorzkiej czekolady. Travis nigdy nie myślał o niej jako kobiecie, która musi wypełniać milczenie jałową rozmową.

– Nie chcę czekolady – powiedział, nie siląc się na finezję. – Chcę ciebie.

– Nawet mnie nie dotknąłeś, odkąd tu jesteśmy. Myślałam, że zmieniłeś zdanie. Że żałujesz, że mnie tu przywiozłeś.

Sięgnął po jej dłoń.

– Nie chciałem się na ciebie rzucać w chwili, kiedy przekroczyłaś próg domu. Pomyślałem, że tym razem wykażę się odrobiną subtelności.

– Więc mus czekoladowy czy ja? – spytała, kryjąc oczy za długimi ciemnymi rzęsami.

– Powiem kelnerowi, żeby dopisał to do naszego rachunku. Chodźmy.

– Nie powinniśmy biec. To nie wyglądałoby najlepiej.

– Pragnę cię, Julie, zawsze możesz być tego pewna – powiedział szeptem przeznaczonym tylko dla jej uszu.

– Wzajemnie – powiedziała z uśmiechem, który odebrał mu dech w piersiach.

Nie biegli do domu, ale przez całą drogę trzymali się za ręce. Kiedy zamknęli za sobą drzwi, Travis pochwycił Julie w ramiona. Czy kiedykolwiek w życiu miał taką niezachwianą pewność, że jest dokładnie tam, gdzie chciał być? Do tego był z jedyną kobietą, która umiała wypełnić jego wewnętrzną samotność, coś, czego dotąd nie potrafił nawet nazwać. Teraz chciał myśleć tylko o Julie i dać z siebie wszystko, żeby poczuła się w tym miejscu równie szczęśliwa jak on.

Później, kiedy Travis wracał myślami do weekendu, którego miał nigdy nie zapomnieć, zamykał oczy i widział Julie w nocnej koszuli, którą jej kupił – przylegającej do ciała i niemal obnażającej piersi; Julie naga, wyciągającą ku niemu ręce na wielkim łóżu; grę uczuć na jej twarzy; śmiech; lzy po miłosnym spełnieniu.

Podczas całego weekendu zjedli dwa posiłki w hotelu, raz wyszli na piętnastominutowy spacer po plaży. Resztę czasu spędzili w łóżku, niewiele rozmawiając, pozwalając, żeby ich ciała mówiły za nich.

W niedzielę rano żegnali weekend, kochając się pod prysznicem.

– Może byśmy zostali tu na cały tydzień... – mruknął Travis. – Nie chcę wracać do domu.

– Ja wracam do pracy, żeby odpocząć – powiedziała Julie ze śmiechem.

– Kiepska kondycja, hm? Nie słyszałem, żebyś narzekała.

– Travis, to był cudowny weekend. – Jej uśmiech zgasł. – Ale musimy wrócić do rzeczywistości.

Wziął ją za rękę.

– Jutro wieczorem mam jakieś spotkania, ale może przyjedziesz do mnie we wtorek po pracy?

Przyłożyła do policzka ich złączone dłonie i zamknęła oczy.

– Szkoda, że nie mogę się tobą nasycić na zapas – powiedziała markotnie.

– Julie, ja nie mam zamiaru zniknąć, jak tylko stąd wyjedziemy.

Więc zrozumiał, pomyślała.

– To było jak cudowny sen. Nie da się tego przenieść do zwykłego życia.

– Da się. I to zrobimy.

– A więc randka we wtorek – powiedziała z zamierzoną beztroską w głosie. – Pójdę się ubrać. Włożę drugą sukienkę, tę, której jeszcze nie mierzyłam.

– Ma taki sam kolor jak ocean w miejscu, w którym cię poznałem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W poniedziałek po źle przespanej nocy Julie pracowała cały dzień. Wróciła do domu autobusem i zjadła na kolację jakieś resztki z lodówki. Mieszkanie było przerażająco puste bez Trávisa, a wtorkowy wieczór wydawał się abstrakcyjnie odległy.

Najgorsze było to, że wcale się na ten wieczór nie cieszyła. Była rozbita, zdenerwowana i sama nie wiedziała, czego chce.

Nie chciała się angażować w żaden związek. Nie chciała nawet myśleć o małżeństwie. Więc po co miałyby się z nim spotykać? Żeby brnąć dalej w kłopoty?

A może chciałaby z nim tylko spędzać szalone weekendy, które nie miałyby żadnego związku z jej normalnym życiem? Zdawała sobie sprawę, że to nie wchodzi w grę – nie z takim człowiekiem jak Travis.

Z ciężkim westchnieniem przebrała się i wyszła na spacer – świadomie lub nieświadomie, kierując się w stronę ulicy, przy której mieszkali jej rodzice. Właściwie mogła do nich wstąpić. Biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się w jej życiu od piątku, mogła nawet spojrzeć na nich nowymi oczami.

Warto było spróbować. Ale kiedy nacisnęła dzwonek, nikt nie odpowiedział. Zauważyła, że na podjeździe nie ma samochodu ojca. Od dawna chciała przejrzeć na strychu swoje stare książki, więc mogła zrobić to teraz.

Otworzyła drzwi kluczem, który dała jej mama, i poszła prosto na górę.

Pudła na strychu były nieopisane, więc Julie otwierała je na chybił trafił, odkrywając komplety starych talerzy, księgi rachunkowe ojca, i nagle trafiła na albumy ze starymi rodzinnymi zdjęciami. Z nagłym zaciekawieniem otworzyła pierwszy z wierzchu. Tuż pod nim leżała duża fotografia oprawiona w złote ramki. Julie wyjęła ją ostrożnie z pudła.

To było zdjęcie ślubne młodej pary. Panna młoda w białej sukni z bukietem róż, pan młody, przystojny i szczupły, w smokingu. Kobieta z ufnością trzymała pod ramię świeżo poślubionego męża, on opiekuńczym gestem opierał dłoń na jej dłoni. Oboje promiennie uśmiechnięci patrzyli w obiektyw.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do Julie, że tych dwoje ludzi na fotografii to jej rodzice.

Siedziała na piętach, wpatrując się w obie twarze w skupionym napięciu. Wyglądali tak beztrosko, tak radośnie.

Czy kiedykolwiek widziała, żeby wyglądali tak w rzeczywistości? Nigdy.

Szczyście trwa bardzo krótko, pomyślała. Pożądanie również. Thomas i Pearl byli kiedyś podobnie sobą zauroczeni, jak ona i Travis. Skłonna była wierzyć, że nie wszystkie pary kończą równie źle, ale na samą myśl, że ona i Travis mogliby być tak samo nieszczęśliwi jak jej rodzice, ciarki przeszły jej po plecach.

Drżącymi rękami Julie chwyciła następne oprawione zdjęcie. Jej ojciec i matka w sztywnej pozie, matka trzymająca za rękę trzylatkę w ślicznej różowej sukience.

Tym dzieckiem była ona. Thomas i Pearl uśmiechali się, ale były to uśmiechy do obiektywu, a nie uśmiechy szczęścia.

Coś złego się stało, zanim ona skończyła trzy lata. Może to była jej wina? Może jej nie chcieli?

Julie schowała zdjęcia do pudła. Do diabła z książkami. Wstała, otrzepała się z kurzu i zbiegła na parter. Podjazd wciąż był pusty. W gorączkowym pośpiechu zamknęła za sobą drzwi i wybiegła na ulicę. Za nic nie chciała się spotkać z rodzicami.

W swoim mieszkaniu poczuła się jak w raju. Rzuciła się na kanapę i dopiero wtedy zorientowała się, że płacze. Płakała nad swoimi rodzicami i nad sobą. Bo to, oczywiście, potwierdzało jej wszystkie obawy. Żaden długotrwały związek z Travisem nie wchodził w grę.

Następnego dnia, kiedy wróciła z pracy, zastała nagraną wiadomość od Trvisa.

„Zadzwoń, jak tylko wrócisz. Zabieram cię na kolację – zawartość mojej lodówki wygląda odstraszająco. Ale zmieniłem pościel. Do zobaczenia.”

Nie mogła się rozplakać. Dosyć tych łez.

Powinna do niego zadzwonić. Mieć to za sobą.

Ciężką jak ołów ręką podniosła słuchawkę i wystukała numer. Odebrał natychmiast.

– Julie?

W jego głosie było tyle entuzjazmu, tyle radości, że z rozpaczy odjęło jej mowę.

– Julie, jesteś tam?

– Tak.

– Co się stało? Masz okropny głos.

– Ja... Travis, ja do ciebie nie przyjdę. Nie możemy się więcej spotykać.

– Co?

– Nie chcę cię więcej widzieć – powiedziała mocniejszym głosem.

– Nigdzie nie wychodź. Zaraz tam będę.

– Nie!

Ale Travis już się rozłączył. Powoli odłożyła słuchawkę.

Powlokła się do łazienki i obmyła twarz zimną wodą. Nałożyła na policzki trochę różu i pomalowała usta. W tej samej chwili zadzwonił dzwonek. Głośno i nieustępliwie. Przerazona, na chwiejnych nogach, poszła otworzyć.

Travis zamknął za sobą drzwi i bez słowa wziął ją w ramiona. Julie przylgnęła do niego bezwiednie, tonąc w ciepłych, kojących objęciach, ale po chwili zeszytywniała i odepchnęła go.

– O co chodzi?

– Nie możemy tego ciągnąć.

– To już słyszałem. Dlaczego, Julie? Co takiego się wydarzyło?

– Namiętność, szczęście, miłość – to nie trwa długo.

– Trwa, jeśli my tego chcemy. Jeśli się o to staramy.

– Może ty w to wierzysz. Ja nie.

– W niedzielę tak nie mówiłaś. Widziałaś się dzisiaj z rodzicami?

– Dlaczego nie możesz po prostu przyjąć do wiadomości tego, co mówię?

– Bo to nie jest w porządku. Jesteśmy kochankami, spędziliśmy ze sobą weekend – a teraz chcesz mnie zbyć garścią banałów o szczęściu?

– Dobrze, powiem ci, co się stało. – Mówiąc bardzo szybko, opisała mu, co znalazła na strychu i jakie to na niej zrobiło wrażenie. – Moi rodzice byli kiedyś bardzo szczęśliwi, tak jak my w ten weekend. Teraz się nienawidzą. Ale są tak cholernie uprzejmi, że tego nie mówią. Dogadują sobie bez przerwy, prześcigają się w złośliwościach, a ja po prostu nie mogę tego znieść. Takie było całe moje dzieciństwo: nigdy nie wiedziałam, co się naprawdę dzieje i w co mogę wierzyć.

Znów zaczęła płakać. Wściekła na siebie, złapała się za policzki.

– Było całe mnóstwo zasad, których musiałam bezwzględnie przestrzegać. Dla własnego dobra, oczywiście. Zwłaszcza kiedy zaczęłam dojrzewać, nie do pomyślenia była na przykład rozmowa o seksie. Nigdy się nie dotykali. Nie pamiętam, żeby ojciec objął kiedyś matkę. – Julie wcisnęła rękę w kieszenie uniformu. – Buntowałam się przeciwko prawie wszystkim ich zasadom i wyprowadziłam się z domu, jak tylko skończyłam szkołę średnią. Jediną sferą życia, w której nie zdobyłam się na bunt, był seks. Pewnie się bałam samej siebie. I miałam rację, co udowodnił ten weekend. Nie chcę skończyć jak moi rodzice, wolę być sama do końca życia. Dlatego chcę, żebyś sobie poszedł.

– My nie skończylibyśmy jak twoi rodzice, jestem tego pewien.

– Ja nie. I nic na to nie poradzę! Nie rozumiesz, Travis? Musimy z tym skończyć, dopóki chodzi tylko o seks, dopóki...

– Tylko o seks? – przerwał gwałtownie. – Tylko tyle dla ciebie znaczę?

– Spędziliśmy cały weekend w łóżku. Jeśli to nie jest seks, to co?

– Kochaliśmy się, Julie.

– To tylko eufemizm. To, co robiliśmy, to seks, Travis. Fantastyczny seks. Szalony seks. Ale nie udawaj, że było w tym coś innego.

– Jeśli tak myślisz – powiedział przez zaciśnięte zęby – to już mnie tu nie ma. Nie pozwolę, żeby ktoś mnie tak traktował. Ani ty, ani nikt inny.

Miała ochotę krzyknąć, że to nie tak, że musiało być w nim coś absolutnie wyjątkowego, co ją porwało. Ale nie mogła mu powiedzieć. Musiała z tym natychmiast skończyć, zanim puszcza jej nerwy i rozklei się jak dziecko.

– Tylko nie mów, że jesteś we mnie zakochany, bo i tak w to nie uwierzę.

– Jestem czy nie jestem, nieważne – warknął. – Dawno mi się nie zdarzyła taka pomyłka w odczytaniu czyichś intencji... a wydawałoby się, że powinienem już mieć swój rozum. Żegnaj, Julie. Niech ci się wiedzie.

Minęły trzy tygodnie, podczas których codzienne życie Julie skupiało się na pracy zawodowej. Koszmarne były tylko samotne noce i weekendy, po których z prawdziwą ulgą wracała do pacjentów w klinice. Travis ani razu nie spróbował się z nią skontaktować, ale czy mogła mieć do niego o to żal?

Poświęteczny poniedziałek był wyjątkowo pracowity. O wpół do trzeciej Julie z kawą i ciastkiem poszła do pokoju dla personelu, żeby chwilę odetchnąć.

– Wyglądasz na przepracowaną, Julie – usłyszała

sympatyczny głos Leonory Conolly, która wsunęła głowę przez uchylone drzwi.

– Leonora, jak miło cię widzieć. Ale czy ja coś przeoczyłam? Byłyśmy na dzisiaj umówione?

Leonora miała u niej serię zabiegów i ćwiczeń na początku lata. Była wysoką kobietą o posągowej urodzie. Miała bardzo niebieskie oczy i bujne czarne włosy lekko oprószone siwizną. Julie od razu ją polubiła i zrobiła, co w jej mocy, żeby złagodzić dolegliwości ścięgien i stawów, których nabawiła się przez lata pracy jako zawodowa tancerka.

– Mogę wejść? – spytała z uśmiechem. – Nie, nie jesteście umówione. Odwiedziłam przyjaciółkę i pomyślałam, że wpadnę, żeby ci powiedzieć, jak bardzo mi pomogłaś. Czuję się dużo lepiej i jestem ci za to bardzo wdzięczna.

– Nie zapominaj, że ty też ciężko pracowałaś – zaśmiała się Julie. – Napijesz się kawy? Jak na szpitalną kawę, nie jest najgorsza.

– Nie, dziękuję, muszę już iść.

Julie ściągnęła brwi ze zdumienia.

– Wiesz, to zabawne, ale strasznie mi kogoś przypominasz. Kogoś, kogo niedawno widziałam...

– Tak? – Twarz Leonory lekko stężała.

– Och, już wiem. Nieważne.

– Julie, powiedz, kogo ci przypominam. Proszę – powiedziała z dziwnym uporem w głosie.

– Kilka tygodni temu poznałam doktora Tralisa Stratherna. Ma bardzo podobne oczy do twoich, takie intensywnie niebieskie... Leonoro, co ci jest?

Nagle pobladła kobieta oparła się o framugę drzwi.

– Lubisz go?

– Jest chyba bardzo dobrym lekarzem – odpowiedziała wymijająco Julie.

– Nie o to mi chodzi. Czy lubisz go jako człowieka? Jaki on jest?

– Travis? Silny, charyzmatyczny, bezpośredni. Mówi to, co myśli. Żadnych gier. Wysoki, przystojny szatyn. Pod tym względem męska kopia ciebie.

– Aha.

– Znasz go? Leonoro, źle wyglądasz, może usiądziesz?

– Jest moim synem.

Julie zakręciło się w głowie. Wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

– Leonoro, Travis mi powiedział, że jego matka zmarła, kiedy miał sześć lat.

– To długa historia. – Leonora zamknęła drzwi i usiadła na krześle obok Julie. – Jak dobrze go znasz?

– Poznałam go na przyjęciu. Potem spotkaliśmy się kilka razy.

– Muszę to komuś opowiedzieć. Albo zwariuję.

– Mam czas – powiedziała łagodnie Julie.

– Zawsze chciałam być tancerką. Od dziecka chodziłam na lekcje baletu i od początku było wiadomo, że mam talent. Ale kiedy skończyłam osiemnaście lat, poznałam Charlesa Stratherna. Przystojny, silny, energiczny... możesz sobie wyobrazić. Zakochałam się do szaleństwa i wylądowałam w jego łóżku, nie myśląc o konsekwencjach. Banalna historia, Julie. Niechciana ciąża i ślub. Trzy miesiące później urodził się Travis.

Julie siedziała jak posąg. Instynktownie czuła, że Leonora mówi prawdę.

– Bardzo się starałam być dobrą matką, ale nie powiem, że bym miała rozwinięty instynkt macierzyński. Wróciłam do lekcji baletu, a potem sama zaczęłam uczyć tańca w Bostonie, uciekając od obowiązków domowych tak często, jak tylko mogłam. Po roku małżeństwa zrozumiałam, że Charles nie jest mężczyzną dla mnie, ale próbowałam się z tym pogodzić. Kiedy Travis miał pięć

lat, znów zaszłam w ciążę. Tym razem na świat przyszedł bliźniaki.

– Bliźniaki?

– Brent i Jenessa. – Leonora zwiesiła głowę. – Czuję się jak w potrzasku. Najpierw byłam zła na cały świat, ale nie mogłam wyładowywać tej złości na dzieciach. Więc dusiłam wszystko w sobie i popadałam w coraz większą depresję. W końcu pojechałam do Nowego Jorku, do sławnego psychiatry, którego znał Charles... Przy okazji poszłam na występ paryskiej tancerki, Madeleine Mercier, i dwa dni później ja też byłam w Paryżu. Po prostu uciekłam. Porzuciłam męża i dzieci.

Mnóstwo pytań kłębiło się w głowie Julie, ale siedziała nieruchomo. Wiedziała, że to nie koniec historii.

– W dniu, w którym przyleciałam do Paryża, zadzwoniłam do Charlesa i powiedziałam, że będę odwiedzać dzieci co dwa miesiące. Kazał mi zmienić nazwisko i zagroził, że jeśli kiedykolwiek pojawię się w Bostonie albo na Manatuck, zniszczy mnie. Powiedział, że jego adwokaci przyślą mi papiery rozwodowe, i że on dostanie wyłączne prawo do opieki nad dziećmi. – Leonora wzdrygnęła się. – Myślałam, że jeśli odczekam kilka tygodni, Charles ochłonie, ale kiedy skontaktowałam się z nim następnym razem, okazało się, że powiedział już Travisowi, że umarłam. Wymyślił fikcyjny pogrzeb w Filadelfii.

– Jak on mógł zrobić coś takiego własnemu synowi?!

– Zraniłam jego dumę. Zrobiłam z niego głupca.

– Charles nigdy nie powiedział Travisowi prawdy o tobie.

– Dlatego tu jestem. Żeby pogodzić się z Travisem,

jeśli to w ogóle możliwe. Ale boję się z nim skontaktować. – Spojrzała na Julie z drżącym uśmiechem. – Absurdalne, prawda? Mieszkam w tym samym mieście i nie wykonałam jednego ruchu, żeby go zobaczyć.

– Po twoim wyjeździe Travis został wysłany do szkoły z internatem i przez dwa lata nie wolno mu było przyjeżdżać do Manatuck.

– Jeszcze jedna zdrada... On kochał to miejsce. – Leonora podniosła głowę. – Julie, chcę cię prosić o przysługę. Wielką przysługę. Znasz Trávisa. On ma do ciebie zaufanie, jeśli opowiadał ci o swoim dzieciństwie. Chcę, żebyś mu powiedziała, że żyję, jestem w Portland i że chciałabym się z nim zobaczyć. Mogłabyś go przygotować, żeby to nie był dla niego taki straszny szok...

– Nie mogę!

– Proszę... Rzadko zdarza mi się o coś błagać, ja też mam swoją dumę, ale teraz cię błagam. – Uśmiechnęła się gorzko. – Tańczyłam przed najsurowszymi krytykami w Europie, a boję się własnego syna.

Julie zastanawiała się przez moment, czy nie powiedzieć Leonorze o weekendzie, który spędziła w ramionach Trávisa; i o tym, jak go odtrąciła – dlatego że ona też się go bała.

– Dobrze, zrobię to. Ale musisz mi dać kilka dni.

– Oczywiście. Dziękuję, Julie, będę ci bardzo wdzięczna.

– Może najpierw zobaczymy, co z tego wyjdzie, a podziękujesz mi później.

– Wszystko zależy od Trávisa.

W środę Travis wrócił z pracy później niż zwykle.

Miał naprawdę ciężki dzień. Za dużo papierkowej roboty, dwóch pacjentów hipochondryków, i fatalne rokowanie, o którym musiał poinformować młodą kobietę z trójką małych dzieci.

Był wykończony, a do tego wciąż myślał obsesyjnie o Julie i nie znajdował na to żadnego lekarstwa. Nienawidził poczucia bezradności.

Kiedy zadzwonił dzwonek, otworzył gwałtownie drzwi.

– Julie!

Wróciła, pomyślał w nagłym przypływie euforii. Zmieniła zdanie.

Objął ją w talii, przeniósł przez próg i, zatraskując nogą drzwi, zaczął ją całować jak szalenciec.

– Travis... Przestań! – Odepchnęła go, łapiąc powietrze. – Muszę ci coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego.

Przyglądał się jej w osłupieniu przez pięć pełnych sekund.

– Jesteś w ciąży.

– Skąd! Nie mów głupstw.

– Nie ma w tym nic głupiego. W tamtą deszczową niedzielę u ciebie kochaliśmy się bez zabezpieczenia. Stąd, droga Julie, biorą się dzieci.

– Chodzi o coś zupełnie innego... Nawet nie wiem, jak zacząć. Może mi nalejesz kieliszek wina?

– Białe czy czerwone? – spytał w salonie.

– Czerwone. Im cięższe, tym lepsze.

Otworzył butelkę bardzo wykwintnego merlota i napełnił dwa kieliszki.

Julie stała przy oknie, patrząc na port. Kiedy Travis podał jej wino, wypła łyk i wzięła głęboki oddech.

– Przypadkiem dowiedziałam się czegoś o twojej przeszłości i muszę ci o tym powiedzieć. To wielka sprawa, Travis, więc proszę, wysłuchaj mnie uważnie...

Zacząła od Leonory, której oczy były tak uderzająco podobne do oczu Trávisa, i powoli rozwinęła tę odległą historię o porzuceniu i oszustwie. Travis siedział na bocznym oparciu fotela. Kiedy doszła do sfingowanego grobu w Filadelfii, wstał i chwycił ją za ramię.

– Nie zmyślasz tego wszystkiego?

– Sądzisz, że mogłabym...?

– Więc to prawda... – Przeciągnął ręką po włosach.

– Tak.

Czuł się jak zamroczony. Jego matka żyła. Julie opowiadała mu teraz o jej długiej europejskiej karierze i niedawnym powrocie do Stanów. Zastanawiał się przez chwilę, czy to wszystko mu się nie śni.

– Powiedziałam jej, że cię znam, dlatego Leonora poprosiła mnie o pośrednictwo. To wyjątkowa kobieta, Travis. Polubiłam ją od naszego pierwszego spotkania. Dlatego się zgodziłam.

Julie nie miała pojęcia, co mogłaby jeszcze powiedzieć. Travis wyglądał na ogłuszonego. Kusiło ją, żeby go mocno objąć, ale nie mogła tego zrobić.

Wyjęła z kieszeni złożoną kartkę papieru.

– To jest telefon i adres Leonory. Ona ma nadzieję, że się z nią skontaktujesz.

– Ja mam się z nią skontaktować? Żartujesz?

– Albo ona do ciebie zadzwoni, jeśli zgodzisz się, żebym dała jej twój numer.

– Spodziewa się, że teraz nadrobimy te dwadzieścia osiem lat?

- Oczywiście, że nie. Ale bardzo chce cię zobaczyć.
- Zastanowię się.
- Rozumiem, że to dla ciebie straszny szok...
- Ona nie umarła. Zostawiła mnie i bliźniaki. Powiedz, dlaczego miałbym chcieć się z nią spotkać?
- Travis, ja jestem tylko posłańcem – powiedziała łagodnie.
- Dobrze... Umówię się z nią, jeśli pójdziesz ze mną.
- Ja? To nie ma ze mną nic wspólnego!
- Znasz ją. Musi mieć do ciebie wyjątkowe zaufanie. Julie oddychała ciężko. Brnęła w to coraz głębiej. Ale czy Leonorze jej obecność nie dodałaby otuchy?
- Dobrze, pójdę z tobą. Kiedy?
- Nie myślałem, że zgodzisz się tak łatwo – powiedział zgryźliwym tonem. – Ona musi być fascynującą kobietą.
- Jest twoją matką.
- W piątek wieczorem. Wpół do ósmej. Przyjadę po ciebie.
- Travis, jestem pewna, że ona żałuje...
- Nie jestem teraz w nastroju na psychologiczne analizy.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W piątek wieczorem Julie czekała na Trvisa przed domem. Kiedy podjechał swoim czarnym samochodem, wsiadła szybko, unikając jego wzroku.

– Ciężki miałaś dzień? – spytała, zapinając pasy.

– Za każdym razem, kiedy cię widzę, jest tak, jakby to był pierwszy raz... – mruknął. – Czuję się, jakbym włożył palec do kontaktu.

– Tylko dlatego na ciebie nie spojrzałam, żeby uniknąć takich wrażeń – odpowiedziała z irytacją. – Rzecz w tym, Travis, że nie damy się temu ponieść.

– Ewangelia według świętej Julie.

– To było kiepskie!

– Nie jestem w nastroju, żeby grać fair.

– Przynajmniej zachowaj się fair wobec Leonory i wysłuchaj spokojnie, co ma do powiedzenia.

Dziesięć minut później wchodzili po schodach eleganckiego apartamentowca, w którym mieszkała Leonora. Kiedy Julie zastukała lekko w jej drzwi i wprowadziła go do środka, Travis czuł się jak robot z zepsutym programatorem.

Kobieta, która na nich czekała, odezwała się z przejmującą powściągliwością.

– Witaj, Travis.

Była wysoka, elegancka – i nagle znajoma. Starsza, oczywiście, ale zasadniczo się nie zmieniła. Poczul się,

jak gdyby znów był małym chłopcem, choć jednocześnie wzbierała w nim całkiem dorosła wściekłość.

– Poprosiłem Julie, żeby ze mną przyszła, mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Ależ skąd. – Na ustach Leonory pojawiła się namiastka uśmiechu. – Uważam Julie za swoją przyjaciółkę... Mogę przynieść ci drinka?

Kilka minut później Travis siedział w fotelu przy oknie, naprzeciwko swojej matki. Rodzonej matki. Podniósł szklanę z ironicznym uśmieszkiem na ustach.

– Zdrowie... Julie opowiadała mi o twoich artystycznych sukcesach w Europie. Zabawne, że nigdy o tobie nie czytałem.

– Twój ojciec zmusił mnie do zmiany nazwiska. Connolly jest panieńskim nazwiskiem mojej babki. Poza tym odnosiłam sukcesy na bardzo wąskim polu. Nie wszystkich interesuje balet nowoczesny.

– Długo dojrzewałaś do swojego zmartwychwstania.

– Twój ojciec kazał mi przysiąc, że nigdy się z tobą nie skontaktuję... Dotrzymywałam przysięgi przez blisko trzydzieści lat. Ale teraz już nic mi nie może zrobić. Dlatego wróciłam. – Pochyliła się gwałtownie w swoim fotelu. – Masz prawo być na mnie wściekły, Travis, nie myśl, że tego nie rozumiem.

– Bliźniaki w ogóle cię nie znają.

– Ani ja ich.

– To był twój wybór.

– Nigdy nie miałam przekonania do macierzyństwa. Moim błędem było wyjście za męża.

– Więc przyznajesz, że popełniłaś błąd.

– Nigdy nie zrobiłeś czegoś, czego zawsze będziesz żałował?

– Nigdy się nie ożeniłem i nie miałem dzieci – dzięki temu nie porzucę ich. Przynajmniej tego błędu nie mam szansy popełnić.

– Nie przypuszczałam, że Charles zareaguje tak okrutnie! Byłam młoda, zdana w Paryżu wyłącznie na siebie... Powiedział, że mnie zniszczy, jeśli dam jakikolwiek znak życia.

– Tak czy inaczej, jestem pewien, że rozumiesz trudność mojego położenia. Nie mogłem cię winić za to, że umarłaś. Rzadko kto tego chce. Ale że zostawiłaś mnie na łasce i niełasce ojca – za to cię winię. Ty byłaś młoda, ale ja byłem dzieckiem. Kompletnie samotnym.

W niebieskich oczach Leonory zabłyśły łzy. Julie widziała je, ale powstrzymała się od reakcji. Ta scena rozgrywała się pomiędzy matką i synem, i ona nie miała prawa się wtrącać. Usiłowała tylko odsunąć od siebie obraz osieroconego przez matkę chłopca, wyrzuconego z ukochanej wyspy przez ojca.

– Wyjechałam do Paryża z przekonaniem, że będę was regularnie odwiedzała – powiedziała Leonora. – To, czego doświadczyłeś, było straszne, nie do wyobrażenia. Ale teraz proszę cię jako dorosłego mężczyznę, żebyś spróbował wybaczyć mi moje winy. To, co zrobił twój ojciec, jest między tobą a nim.

– Niestety, Charles nie miał ani trochę więcej przekonania do ojcostwa niż ty do macierzyństwa. Jenessa w ogóle się z nim nie widuje. Ja wyprowadziłem się z domu, kiedy miałem szesnaście lat. Brent jest jego prawowitym spadkobiercą.

– Chcę się skontaktować z obojgiem, ale najpierw musiałam zobaczyć ciebie.

– Jeśli oczekujesz wdzięczności, muszę cię zawieść.

– Daj mi tylko szansę, Travis, o nic więcej nie proszę.

– Jeśli chcesz mi opowiedzieć o swojej karierze, zamieniam się w słuch.

Mogło być gorzej, pomyślała Julie, sącząc w milczeniu białe wino. Pożegnali się po dwudziestu minutach, nie ustalając czasu ani miejsca następnego spotkania. Travis nie dotknął swojej matki, ona też nie wykonała żadnego zachęcającego gestu.

Wracali do Starego Portu w głuchym milczeniu. Travis zatrzymał się przed domem Julie.

– Dziękuję, że ze mną pojechałaś – powiedział zimno.

– Nie zacznę się z tobą kłócić w samochodzie przed swoim domem.

– Masz ochotę na kłótnię, Julie?

– Szczerze mówiąc, tak.

– Z rozkoszą stawilibym ci czoło.

– Więc wejdźmy do środka.

Zamknąwszy za sobą drzwi, przystąpiła do ataku.

– Od środy miałeś czas, żeby oswoić się z faktami – twoja matka żyje i mieszka w Portland. Jak masz ją zamiar traktować?

– Moja matka zmarła wiele lat temu.

– Dostałeś coś, za co większość ludzi na twoim miejscu oddałaby fortunę – drugą szansę.

– W takim razie nie jestem większością ludzi.

– Nie możesz jej tak po prostu ignorować!

– Przekonasz się.

– To zwykłe okrucieństwo.

– Opłakiwałem ją latami, a teraz pojawia się ni stąd, ni zowąd i prosi o przebaczenie. Uważasz, że powinienem natychmiast zapomnieć o przeszłości i zacząć grać dobrego synka? O nie, w życiu nie ma tak łatwo.

– A dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz siostrę? Dużo masz takich niespodzianek w zanadrzu? Porzucone żony, które być może mijam na ulicy?

– Nie, to nie w moim stylu! Jenessa unika ojca, a podczas weekendu na wyspie tyle się działo, że nie miałem okazji o niej wspomnieć.

Julie była nawet skłonna to zrozumieć. Ale w sprawie Leonory jeszcze nie skończyła.

– Wiesz, jak ja to widzę? Jesteś szczęściarzem, mając taką matkę jak Leonora. Ona ma artystyczną duszę, talent i pasję. Nie boi się ryzyka. Jest niezwykła.

– W tym cały problem, nie rozumiesz? Sześciolatnie dziecko potrzebuje zwyczajnej matki. Takiej, która kładzie je do łóżka i jest przy nim rano, kiedy się budzi. Oczywiście, Leonora zrobiła wielką karierę. Ale z mojej perspektywy cena była zbyt wysoka.

– Wolałbyś taką matkę jak moja? – spytała Julie z roziskrzonym wzrokiem. – Taką, której oddech zawsze czułam na plecach i która nigdy nie przestała mnie kontrolować? Która tak strasznie się bała okazywania uczuć, że i mnie odebrała do tego prawo? Jestem taka jak ty. Ja też nie założyłam rodziny ze strachu. Bałam się, że będę taka sama jak moja matka.

Julie opadła na fotel, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Kiedy Travis nieporadnym gestem spróbował ją objąć, z furią odepchnęła jego rękę.

– Zostaw mnie! Wracaj do domu. Żadne z nas nie ma ani krzty odwagi.

– Udowodnijmy, że nie masz racji – powiedział z przejęciem. – Zaryzykujmy, Julie. Oboje. Muszę wyjechać z miasta. Odetchnąć morskim powietrzem, spróbować pozbierać myśli. Bryce namawia mnie, żebym skorzystał z jego letniego domu. Wyjedź ze mną na weekend, Julie. Jeśli chcesz, możesz mieć własny pokój. Chcę po prostu pobyc z tobą nad oceanem. To wszystko.

– To dużo.

Nie chciała skończyć jak jej matka, ale też nie chciała być samotna jak Leonora. Czy siedzenie w domu przez cały weekend nie przypominało zachowania Pearl? Poza tym była nieustannie zmęczona, choć robiła, co mogła, żeby ten symptom ignorować. Weekend nad morzem dobrze by jej zrobił; może przestałaby się zadreć faktem, że spóźniał jej się okres.

Nie była w ciąży. Nie mogła być w ciąży. Nawet nie chciała o tym myśleć.

– Chętnie z tobą pojedę.

– Pakuj się!

Z uśmiechem na twarzy wyglądał o dziesięć lat młodziej, zauważyła nie po raz pierwszy Julie. Wstała, umyła w łazience twarz, wrzuciła do torby kilka ubrań i wróciła do pokoju.

– Pospieszmy się, zanim zmienię zdanie.

– Jesteśmy na miejscu? – wymamrotała, obudziwszy się nagle, gdy Travis zjechał z autostrady.

– Prawie.

Zatrzymał się przed domem Bryce'a, pozwalając, żeby

widok mówił sam za siebie: prywatna plaża, ślady fal na piasku, przybrzeżne wysepki w kołnierzach piany i otwarty ocean. Od strony lądu dom osłaniały wysokie sosny.

– Jak pięknie... – westchnęła Julie.

– Ty jesteś piękna.

Zarumieniła się, zwieszając głowę. Po chwili spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie chcę oddzielnego pokoju. A ty?

– Nie.

– No dobrze – powiedziała z uśmiechem – poszło jak z płatka. Ale poza tym, że na ciebie lecę, jestem strasznie głodna. Czy w tym pięknym miejscu jest coś do jedzenia?

– Pełna lodówka.

– Jasne.

– Nie wiem, dlaczego boisz się skończyć jak twoja matka – powiedział drwiąco. – Zupełnie ci to nie grozi.

– Nie chcę rozmawiać o matkach. Ani o twojej, ani o mojej.

– Jak to? Żadnych kłótni?

– Wyładujmy swoje rzeczy i rozpalmy grilla. Albo, droga Julie, wylądujesz na głodniaka w sypialni.

– Najpierw stek albo nawet hamburger – powiedziała dumnie i jednocześnie wysiedli z samochodu.

– Chodź tutaj – powiedział, zatrzasnąwszy drzwi.

Podeszła, owinęła go ramionami i przytuliła policzek do jego torsu.

– Teraz to. – Pocałował ją namiętnie, a potem wyszeptał do jej rozchylnych ust: – Nie potrzebuję zapalki, żeby rozpalić grilla.

– Mogą być nawet hot dogi.

– Kiedyś będę musiał podziękować Brentowi za to, że cię zaprosił na Manatuck.

Julie wybuchła śmiechem.

– Jestem pewna, że będzie pod wrażeniem.

W podobnym, niezachwianie radosnym, nastroju spędzili następne dwa dni – sporą część tego czasu w łóżku, chociaż kochali się też na progu spiżarni i, dość niewygodnie, pod sosną. Pływali, myli razem naczynia, dyskutowali o polityce dyktatorów i wojnach partyzanckich. Piekli na grillu krewetki, pochłaniali naleśniki ze świeżymi truskawkami i bitą śmietaną i spacerowali po lesie. Travis śpiewał pod prysznicem, Julie uczyła go tanzańskiego tańca plemiennego. Często się śmiali.

Kiedy w niedzielę po południu wkładali do bagażnika swoje torby, Travis położył rękę na ramieniu Julie i poczekał, aż spojrzy mu w oczy.

– Tym razem nie chodziło tylko o seks, prawda, Julie?

– Nie – odpowiedziała niepewnie.

– Kiedy cię znów zobaczę?

– Może w czwartek?

– Dopiero?

– W poniedziałek zabieram mamę na film, o którym ojciec mówi, że nie jest wart ceny biletu. Na wtorek umówiłam się z Kathy, a w środy pracuję do późna wieczorem.

– Więc w czwartek przed kliniką, koło wpół do szóstej?

– Zgoda. – Rozejrzała się wokół z ciężkim westchnieniem. – Nie chce mi się stąd wyjeżdżać. Nie ciągnie mnie do rzeczywistości.

– To teŝ jest rzeczywistość. Ty i ja razem, nie ma nic bardziej rzeczywistego. Zresztą możemy tu wrócić.

Wrócić? Dopiero na autostradzie Travis zadał sobie to pytanie. Jemu zostały tylko trzy tygodnie, a kontrakt Julie wygasał w połowie września. I co dalej? Wspominała o wyjeździe do Tajlandii, a on miał dostać propozycję pracy w Meksyku.

Czy to miała na myśli, mówiąc o rzeczywistości?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W poniedziałek w pracy Julie dwa razy zwróciła śniadanie. Pochylona nad umywalką w łazience, patrzyła na swoją bladą twarz w lustrze.

Grypa. To musi być grypa. Żadne poranne mdłości.

Poza zmęczeniem, które nie opuszczało jej od kilku tygodni, przez resztę dnia czuła się normalnie. W nocy spała jak dziecko, a następnego ranka ostrożnie zjadła miskę płatków zbożowych i ledwie zdążyła dobiec do łazienki. Kiedy doszła do siebie, niewiele myśląc, zadzwoniła do lekarza i umówiła się na wizytę w porze lunchu, następnego dnia.

Jego diagnoza potwierdziła tylko to, o czym Julie w głębi duszy już wiedziała.

Była w ciąży.

Wyszła z gabinetu lekarskiego kompletnie oszołomiona. Co teraz? Miała się spotkać z Travisem następnego dnia wieczorem. Zostało jej niecałe trzydzieści godzin na znalezienie odpowiedzi.

Dziecko nie było problemem. Było dla niej jasne, od momentu, w którym lekarz wypowiedział słowo „ciąża”, że je urodzi. Problemem był Travis.

Musiała mu powiedzieć. Czy miała inne wyjście?

W swoim czasie. Przy odrobinie szczęścia, pomyślała, ciąża zacznie być widoczna dopiero pod koniec września, kiedy Travis będzie już w Meksyku. Musiała tylko uwa-

żyć, żeby nikt z kliniki nie przyłapał jej na porannych mdłościach; wiedziała z doświadczenia, jak szybko rozchodzą się plotki w różnych szpitalach; czy to w Maine, czy w Kalkucie. Mogła zacząć wstawać wcześniej, żeby mieć to za sobą, zanim wyjdzie z domu.

Czując się trochę różnie, wróciła autobusem do pracy. W czwartek, mimo swoich najlepszych intencji, kiedy przyjechała rano do kliniki, wciąż czuła mdłości. Pierwszego pacjenta miała dopiero o wpół do dziesiątej, więc zabrała się do pracy papierkowej.

Sporządzała swój miesięczny raport, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę.

– Dzień dobry, Julie – powiedział radośnie Travis.

Stał przed nią, po drugiej stronie biurka, i w jej maleńkim gabinecie wydawał się jeszcze potężniejszy niż zwykle. Całą siłą woli próbowała powstrzymać mdłości.

– Nie jestem... – zaczęła, i nagle zrobiła gwałtowny wdech. – Przepraszam... – Wybiegła z gabinetu, potrącając Travisa.

Zdążyła do łazienki w ostatniej chwili. Po dziesięciu minutach, wiedząc, że nie ma innego wyjścia, wróciła do gabinetu.

– Co ci jest? – zapytał krótko, ze wzrokiem przyklepionym do jej bladej twarzy.

– Musiało mi coś zaszkodzić. Ale czuję się już lepiej. Co ty tu robisz?

– Jesteś w ciąży, prawda?

– Czy dzisiejsza randka jest aktualna?

– Julie, odpowiedz mi. Jesteś w ciąży?

– Tak.

- Więc pobierzemy się najszybciej, jak to możliwe.
- Ja... co powiedziałaś?
- I nasze małżeństwo będzie trwałe. Moje dziecko nie zostanie porzucone tak jak ja.
- Przyjęte jest, żeby spytać kobietę, czy chce wyjść za mąż.
- To są okoliczności wyjątkowe.
- Nie chcę wychodzić za mąż. Nie bierz tego do siebie, Travis. Nie ma znaczenia, kim dla mnie jesteś. Odpowiedź brzmi: „nie”.
- Ty nic nie rozumiesz, prawda? W tej sytuacji nie masz wyboru. Do przyszłego tygodnia załatwię formalności.
- Ty mnie nie kochasz – powiedziała drewnianym głosem.
- Tu nie chodzi o miłość. Chodzi o dziecko, które ma mieć dwoje rodziców. Nie jedno.
- Ja mam dwoje rodziców, którzy się nie kochają. To jest najgorsza rzecz, jaką można zrobić dziecku!
- Nie znam twoich rodziców, ale założę się, że w niczym nie przypominasz swojej matki. I byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że jestem taki jak twój ojciec.
- Nie kochamy się – i nie możemy się pobrać!
- Wiele dla siebie znaczymy, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Na tym zbudujemy nasz związek.
- Ty mnie w ogóle nie słuchasz!
- Dostałem propozycję bardzo intratnej posady w Meksyku, koło Cuernavaki. Mają tam przychodnię rehabilitacyjną, mogłabyś...
- Przestań! Nie wyjdę za ciebie.

– Nie spytałem cię o najważniejszą rzecz. Czy to, że będziesz miała dziecko, budzi w tobie przerażenie?

– Nie, prawdę mówiąc, nie. Ale mogę być samotną matką.

– To nie wchodzi w grę.

– Według ciebie.

– To jest też moje dziecko.

– Dlaczego to się stało? Dlaczego byliśmy tacy bezmyślni?

– Dlatego, że jest między nami coś, co wymyka się myśleniu. – Podniósł rękę i musnął dłonią jej twarz. – To jest żywioł, Julie. Nie próbuj temu zaprzeczyć.

– Nie można budować małżeństwa na namiętności!

– Są dużo gorsze rzeczy, na których ludzie budują małżeństwa. Zdobęde jeszcze dzisiaj papiery. Potem chciałbym poznać twoich rodziców. I dowiem się, czy Bryce może przyjechać, żeby być moim drużbą.

– Jesteś jak lawina, która porywa ze sobą wszystko, co po drodze – powiedziała z wściekłością. – A twoja matka, zaprosisz ją?

Uśmiechnął się kącikiem ust.

– Charles dostałby apopleksji. Chociaż jestem coraz bardziej przekonany, że on wie, że Leonora jest w Portland.

– Odezwałeś się do niej?

– Nie, jeszcze nie.

– Jeśli się ze mną ożenisz, będziesz musiał, prawda?

– Julie, co do tego, nie ma żadnego „jeśli”.

Stał za blisko niej. Przeszła na drugą stronę biurka i zdobyła się na odwagę, żeby zadać mu jedyne znaczące pytanie.

– Travis, dlaczego chcesz się ze mną ożenić?
– Powiedziałem ci. Z powodu dziecka.
– Więc to nie ma nic wspólnego ze mną.
– Nie pleć głupstw. Spędziłaś ze mną ostatni weekend i wiesz, jak bardzo do siebie pasujemy. Czy nie było nam dobrze?

– Ale to nie przetrwa!
– Nie zgadzam się. A nawet gdybyś miała rację, to czy mamy się zamknąć w oddzielnych klatkach i spędzić samotnie całe życie? To bez sensu.

Czy dlatego chciała mieć dziecko? Żeby nie być sama? Chciała dziecka, ale bez jego ojca.

Jakby czytając w jej myślach, Travis nagle spochmurniał.

– Czy zamierzałaś mi powiedzieć, że jesteś w ciąży?
– Dowiedziałam się dopiero wczoraj.
– Chciałaś mi powiedzieć czy nie?
– Tak... kiedyś.
– Kiedy byłoby ci wygodnie. Po moim wyjeździe z Portland.

Opuściła wzrok, zawstydzona.

– Nie miałam wiele czasu na myślenie.
– I nie będziesz miała. W kilka dni załatwię formalności i ustalę datę ślubu. A dziś wieczorem pójdziemy do twoich rodziców.

– O nie! Jeśli ta farsa ma się odbyć, ja pierwsza im powiem. Sama.

– Więc razem pójdziemy do nich jutro.
– Uważasz za rzecz oczywistą, że za ciebie wyjdę, prawda? Nie podoba mi się to.

Travis uderzył pięścią w biurko.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki o tym rozmawiamy! Przypomnij sobie weekend, Julie. Nie wiem, czy cię kocham. Zawsze myślałem, że nie potrafię kochać żadnej kobiety. Utraciłem tę zdolność, kiedy zniknęła moja matka. Ale na pewno nie jesteś mi obojętna. Ani ja tobie. Daj nam szansę, tylko o to cię proszę.

Patrzyła na niego, wstrząśnięta. Nie mogła go winić za uczciwość, i próbowała znaleźć taką samą uczciwość w sobie.

– Myśl o małżeństwie z tobą... przeraża mnie bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

Wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się gwałtownie, wiedząc, że rozklei się kompletnie, jeśli on jej dotknie.

– Zadzwońię do ciebie – powiedział zimno i wyszedł.

Podczas przerwy na lunch Julie zadzwoniła do Leonory z pytaniem, czy może do niej wpaść po pracy. Za kwadrans szósta była w jej chłodnym, eleganckim salonie.

– Muszę z tobą porozmawiać.

– Chodzi o Trávisa?

– Tak. Nie byłam z tobą całkiem szczerą, jeśli chodzi o mnie i o niego...

– Zastanawiałam się nad tym.

– Zanim go poznałam, spałam tylko z jednym mężczyzną, kolegą ze studiów. Małżeństwo moich rodziców to katastrofa, i dawno temu zdecydowałam, że nie interesują mnie żadne stałe związki. Ale poznałam Trávisa i sama wciągnęłam go do łóżka... Faktem jest, że nie musiałam się specjalnie wysilać, bo on był równie chętny.

– Wyobrażam sobie.

– Bez przerwy ze sobą walczymy. Spędziliśmy razem ostatni weekend i było cudownie, a potem dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

Po raz pierwszy Leonora była zaskoczona.

– Julie...

– Travis wpadł dzisiaj do mnie do gabinetu. Miałam poranne mdłości i od razu się zorientował. On upiera się, żebyśmy wzięli natychmiast ślub. Leonoro, ja nie mogę za niego wyjść! My się nie kochamy.

– Jeśli za niego nie wyjdiesz, to co zrobisz?

– Będę miała dziecko. Znajdę pracę gdzieś w Stanach i tam zamieszkam.

– Sama.

– A co w tym złego?

– A gdzie widzisz w tym scenariuszu miejsce dla ojca dziecka?

– Nie wiem! Pewnie by nas odwiedzał.

– Julie, widziałam tylko raz Travisa jako dorosłego mężczyznę, ale nie wyobrażam sobie, żeby mógł się zadowolić tak marginalną rolą. Będzie żądał co najmniej prawa do wspólnej opieki.

– Ale...

– I tak będziesz z nim związana przez najbliższe siedemnaście, osiemnaście lat. Dlaczego miałabyś za niego nie wyjść? Z pewnością łączy was coś bardzo silnego.

– Seks – powiedziała ironicznie.

– Nazwałabym to namiętnością.

– Myślałam, że będziesz po mojej stronie!

– Chodzi o mojego wnuka, Julie – zapomniałaś o tym? Zapomniała. Ukryła twarz w dłoniach.

– Odkąd poznałam Trávisa, nie potrafię trzeźwo myśleć – jęknęła. – Miałam życie pełne przygód i podróży, pracę, którą kochałam, i żadnych więzów. Wolałabym go nigdy nie spotkać!

– Ale spotkałaś. Travis został porzucony jako dziecko. Poważnie myślisz, że teraz porzuci własne dziecko?

– To co ja mam zrobić?

– Wyjdź za niego. Nie mówię, że będziesz miała spokojne, poukładane życie. Oboje jesteście na to zbyt uparci. Zbyt niezależni. Jednak myślę, że jeśli się postarasz, możesz znaleźć z Travisem prawdziwą miłość. Ale tylko wtedy, gdy się postarasz.

– Travis zachowuje się wobec ciebie okropnie – powiedziała z rezygnacją Julie.

– Nie jest jeszcze gotowy. Ale moja sugestia, żebyś za niego wyszła, nie miała przysłużyć się mojej własnej sprawie.

Julie wstała z fotela.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Leonoro. W całym tym szaleństwie jedno jest pewne – byłabym zachwycona, gdybyś została moją teściową.

– To bardzo miłe z twojej strony. – Leonora uśmiechnęła się i uściśnęła Julie na pożegnanie. – W głębi serca wierzę, że ty i Travis jesteście dla siebie stworzeni.

Julie wróciła prosto do domu. Ledwie weszła do środka, zadzwonił telefon.

– To ja, Travis. Mamy wyznaczoną datę. Niedziela o trzeciej w kościele Świętej Małgorzaty. Zawiadomię Charlesa i Leonorę. Brenta i Jenessę też. Bryce przyleci w sobotę.

– Mam to po prostu przyjąć do wiadomości. Nie pytasz, czy się zgadzam?

– Nie zapomnij powiedzieć rodzicom, że chciałbym się z nimi spotkać jutro wieczorem. Wcześniej zjemy kolację. Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej.

– Tak jest, sir! – warknęła wściekle, odkładając słuchawkę.

Przebrała się i poszła do rodziców, chcąc mieć to jak najszybciej za sobą. Jej matka, co było do przewidzenia, miała łzy w oczach, a ojciec zadał kilka rzeczowych pytań na temat sytuacji finansowej Travisa. Ani jej, ani jemu nie przyszło do głowy zapytać, czy jest szczęśliwa. Ale kiedy Julie wstała, żeby wyjść, ojciec spytał podejrzliwie:

– Julie, skąd ten pośpiech? Czy to nie jest ślub pod przymusem?

– Doprawdy, Thomas, to był wielki nietakt z twojej strony. Oczywiście, że Julie nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. – Pearl uśmiechnęła się do córki. – Nie zapytaliśmy cię jeszcze, co byś chciała dostać w prezencie ślubnym.

Julie poczuła, że ogarnia ją dzika furia. Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Nie pomogło. Pobladła, wycedziła przez zęby:

– Wiecie, co bym chciała? Żebyście oboje poszli do terapii i zrobili coś ze swoim małżeństwem albo się rozwiedli. Jedno albo drugie.

– Julie!

Po raz pierwszy odezwali się jednym głosem. Ale nawet ten mały cud nie ostudził Julie.

– Jak myślicie, dlaczego nie miałam chłopaków, a o małżeństwie nawet nie chciałam słyszeć? Bo moi

rodzice obrzydili mi miłość i małżeństwo, kiedy miałam pięć lat. Na uczciwą kłótnię was nie stać, prawda? Wolicie dogryzać sobie całymi dniami, niczego nie rozwiązując, żyć jak pies z kotem pod jednym dachem. Tak, jestem w ciąży. I jestem przerażona, że skończę tak jak wy.

– Nie pozwolę, żebyś mówiła do nas w ten sposób – oburzył się Thomas.

– Za późno, tato. Już swoje powiedziałam. I wiecie co? – dodała ze śmiechem. – Czuję się z tym fantastycznie. Powiem wam coś jeszcze. Kiedy byłam dzieckiem, zawsze myślałam, że to moja wina, że to ja jestem powodem ukrytych konfliktów. Ale przestałam tak myśleć. To wy byliście dorośli. Wy ponosiliście odpowiedzialność.

– To nie tak... – wybąkała Pearl.

– Jeszcze jedno, zanim wyjdę. Pójdźcie oboje na strych i wyjmijcie z pudła wasze zdjęcie ślubne. Przyjrzyjcie mu się. Sprawdźcie, czy rozpoznacie samych siebie... Jestem pewna, że nie. – Chwyciła swoją torebkę. – Zobaczmy się jutro wieczorem. Dobranoc.

Za najbliższym rogiem Julie skrzyła do małego parku koło swojej dawnej szkoły. Usiadła na pustej ławce i zobaczyła, że ręce drżą jej jak liście na wietrze. Przyglądała im się bezosobowo, jakby nie należały do niej. Czy rodzice pójdą na strych? Czy jak zwykle skończy się na wzajemnych oskarżeniach?

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Travis po raz nie wiadomo który zapukał do drzwi Julie i znów odpowiedziała mu głucha cisza. Mieszkanie było puste. Z uczuciem paralizującego strachu zbiegł na dół. Od rana nie był w domu; może zostawiła mu jakąś wiadomość.

Kiedy zamaszystym pchnięciem otwierał drzwi wyjściowe, usłyszał za plecami głos chłopca, którego zapamiętał z pierwszej wizyty u Julie. Mały rudzielec miał zwyczaj szaleć na rowerze po korytarzu i wpuszczać do budynku obcych, gdy nikt nie odbierał domofonu.

– Ona wyjechała.

– Kto?

– Pani z zielonymi oczami.

– Jak to: wyjechała?

– Po lunchu zeszła z walizką, wsiadła do czerwonego samochodu i odjechała.

– A wiesz, dokąd wyjechała?

– Nie pytałem. Moja mama mówi, że niegrzecznie jest zadawać ludziom za dużo pytań.

– Dziękuję, że mi powiedziałeś.

– Ona się nawet nie uśmiechnęła do mnie. Pewnie jest na mnie zła.

– Myślę, że nie jest teraz zbyt szczęśliwa. Nie na ciebie jest zła.

Kiedy Travis wpadł do domu, nie znalazł żadnej

wiadomości od Julie w poczcie elektronicznej, ale automatyczna sekretarka sygnalizowała, że ktoś się nagrał. Drżącymi palcami wprowadził hasło.

„Travis... bardzo mi przykro, ale nie mogę tego zrobić. Mam na myśli ślub. Wypożyczyłam samochód i wyjeżdżam na kilka dni. Proszę, nie próbuj mnie szukać. Muszę pobyć sama, żeby pozbierać myśli. Ja po prostu nie wiem, co mam robić. Odkąd cię poznałam, życie wymyka mi się spod kontroli... Odezwę się w przyszłym tygodniu. Ja... Trzymaj się”.

W pierwszej chwili poczuł ulgę, że nic jej się nie stało, że nie poroniła. Potem ogarnęła go złość. Ale nie mógł jej winić za to, że czuła się rozdarta i zagubiona. Od kilku dni nie zachowywał się zbyt racjonalnie.

Dni? A może od kilku miesięcy?

Nalał sobie piwa i stanął przy oknie, patrząc na odbijający od nabrzeża prom. Nie miał pojęcia, dokąd pojechała. Nie chciała, żeby jej szukał. Więc miał siedzieć z założonymi rękami i czekać na jej telefon?

Za późno było, żeby złapać Bryce'a i powiedzieć, żeby nie przylatywał na ślub, bo żadnego ślubu nie będzie.

Zdał sobie sprawę, że to, co czuje, to nie złość, tylko zwykły ból. Julie go odtrąciła. Gorzej, ona od niego uciekła. A czy zostawił jej inne wyjście? Jakieś pole do negocjacji? Żadnego. Był zbyt zajęty zgrywaniem się na macho.

Dopił piwo, zajrzał do książki telefonicznej i wyszedł z domu.

W kobiecie, która otworzyła mu drzwi, nie mógł się doszukać żadnego podobieństwa do Julie.

– Pani Renshaw? Jestem Travis Strathern, narzeczony Julie. Czy ona tu może jest?

– Miała być z panem.

– Czy mogę wejść?

Salon był schludny, nijaki i przeraźliwie czysty. Po chwili wszedł mężczyzna. Wypalony, pomyślał i przedstawił się.

– Julie uciekła – powiedział, siadając bez zaproszenia na krzesło. – To w dużej mierze moja wina, przyznaję. Czy domyślacie się państwo, dokąd mogła pojechać?

– Uciekła? – pisnęła Pearl.

– Ona jest w ciąży – powiedział oskarżającym tonem Thomas.

– Tak. Czy Julie ma jakieś ulubione miejsce, w którym mogłaby się zaszyć?

– Gdyby miała, na pewno byśmy o tym nie wiedzieli – przyznała Pearl, splatając nerwowo palce. – Zawsze była bardzo skrytym dzieckiem.

– Nonsens, Pearl.

– Nie, Thomas. Byliśmy zbyt zajęci naszymi sporami, żeby poświęcać jej dość uwagi.

– Czy musisz poruszać przy obcym nasze prywatne sprawy?

– On nie jest obcy. On jest mężczyzną, który chce poślubić Julie, i ojcem naszego wnuka – oświadczyła Pearl i opadła ciężko na fotel.

– Czy Julie była u państwa wczoraj wieczorem?
– spytał Travis.

Pearl spojrzała na Thomasa, Thomas na Pearl.

– Julie bardzo się boi małżeństwa – dodał ostrożnie Travis. – Ona uważa, że każda miłość szybko się kończy.

– Żałosne – prychnął Thomas.

– Zrujnowaliśmy jej życie – załkała Pearl.

– Państwa córka jest pierwszą i jedyną kobietą, z którą chcę spędzić resztę życia, jest w ciąży, ale nie dlatego chcę się z nią ożenić. Jest niezależna, wszystko, co robi, robi z pasją, jest inteligentna... i olśniewająco piękna.

– Thomas, ty też mi mówiłeś, że jestem piękna. – Pearl odezwała się drżącym głosem. – Dawno temu.

– Wciąż jesteś piękna, Pearl – zaskrzeczał Thomas.

Kiedy Pearl zarumieniła się jak panna młoda, Travis po raz pierwszy dostrzegł w niej ulotne podobieństwo do Julie.

– Wczoraj Julie bardzo się na nas rozgniewała, więc dzisiaj rano zadzwoniliśmy do psychoterapeuty, który specjalizuje się w problemach małżeńskich. W przyszłym tygodniu mamy pierwszą wizytę. Zobaczymy... Julie dała nam ultimatum, panie Strathern. Była bardzo, bardzo wzburzona.

Musiła być bardzo, bardzo wściekła, pomyślał Travis, powstrzymując uśmiech.

– To wielki krok – powiedział z profesjonalnym przekonaniem. – Więc nie domyślają się państwo, dokąd mogła pojechać?

– Proszę zostawić nam swój telefon. Jeśli się do nas odezwie, damy panu znać – zaproponował Thomas.

Wyglądało na to, że lody zostały przełamane. Travis zostawił swoją wizytówkę i wyszedł. Zdecydował, że następnym krokiem będzie Leonora. Pojechał do swojej matki bez zapowiedzi, ale przyjęła go z radością w oczach.

– Dzień dobry, Travis.

Wszedł do salonu i stanął przy oknie, tyłem do światła.

– Julie i ja mieliśmy wziąć ślub w najbliższą niedzielę. Ale ona uciekła. Nie wiesz, gdzie jest?

– Nie. Była u mnie wczoraj po południu. Ona bardzo się boi małżeństwa. I własnych uczuć.

– Poszła wczoraj do swoich rodziców i zrobiła im awanturę. – Uśmiechnął się do eleganckiej kobiety, która była jego matką. – Chciałbym to widzieć.

– Za złością powinno iść przebaczenie.

– Czy przy okazji pijesz do mnie?

– Wiem, że jesteś na mnie zły. Masz do tego prawo.

– Moja matka umarła. Mam kłopot z przywróceniem jej – ciebie – do życia.

– Rozumiem.... – Na moment załamał jej się głos.

– Mam tylko nadzieję, że tego chcesz.

– Jesteś bardzo bezpośrednia.

– Podobnie jak ty. Julie na pewno by się ze mną zgodziła.

– Przypierając ją do muru z tym ślubem, zachowałem się jak słoń w sklepie z porcelaną.

– Raczej jak stado słoń w hucie szkła. Dałeś jej pierścionek zaręczynowy?

– Nie! To nie jest tego rodzaju ślub.

– A jakiego rodzaju to jest ślub? Chcesz, żeby Julie została twoją żoną, prawda?

– Zaczynam się czuć jak czterolatek przyłapany z ręką w słoju z ciasteczkami.

– Ty ją kochasz, wiesz o tym.

– Pożądam jej i bardzo ją lubię. Nie nazywam tego miłością.

– Boisz się miłości tak samo jak Julie, dlatego po-

stanowiłeś zagnać ją do ołtarza. Ale traktując ją z góry, nie zdobędziesz jej. – Leonora zawahała się. – Boję się udzielać rad, ale jako młoda kobieta poświęciłam miłość swoich dzieci dla kariery tancerki. Koszt tej decyzji był niewyobrażalnie wysoki. Na dłuższą metę miłość jest wszystkim, co mamy.

– Żałujesz, że zostałeś tancerką?

– Nie. Ale gdybym była mądrzejsza, może miałabym i taniec, i dzieci.

– Ojciec by ci na to nigdy nie pozwolił.

– Być może. Ale zostawmy przeszłość. Gdybym wiedziała, gdzie jest Julie, powiedziałabym ci.

– Masz jakieś nagrania swoich występów? Chciałbym je obejrzeć.

– Oczywiście, mam mnóstwo kaset. Chętnie ci je pożyczę.

– Powiedz... Ty nigdy nie będziesz błagała o moje względy, prawda?

– Dumna. Uparta. Tak o mnie mówią. Bez wątpienia odziedziczyłeś kilka moich mniej ciekawych cech, ale i tych najlepszych.

– Zapytaj Julie – powiedział z krzywym uśmiechem. – Wyjeżdżam z Portland mniej więcej za trzy tygodnie. Zostaniesz do tego czasu?

– Zostanę tak długo, jak zechcesz.

– Cieszę się. – Travis zobaczył łzy na jej rzesach i instynktownie ją objął.

Leonora oparła czoło na jego ramieniu, ale szybko się odsunęła.

– Nigdy nie przestałam cię kochać, Travis. Zawsze możesz do mnie przyjść. Ty i Julie.

- Nawet nie wiem, gdzie jej szukać!
- Nie zniknie z powierzchni Ziemi. Wróci, zobaczysz.

W niedzielę Travis zadzwonił do ojca, mówiąc, że musi się z nim spotkać. Umówili się, że Charles przybędzie z Oliverem na stały ład.

– Mam nadzieję, że to ważne, Travis – powiedział, gdy Oliver zszedł z łodzi. – Mamy gości.

– Spotkałem się z Leonorą.

Mewa krzyknęła w powietrzu. Fale miarowo uderzały o pomost. Charles wyprostował się z godnością.

– Podpisała formalne zobowiązanie, że nigdy nie wróci.

– Powiedziałaś, że umarła. A potem wyrzuciłaś mnie z Manatuck.

– Dla twojego dobra. Ona cię porzuciła. Ciebie i bliźniaki. Jak kobieta bez serca.

– Postąpiła bezmyślnie. Była młoda, ale nie sądzę, żeby kiedykolwiek była bez serca. To ty byłeś bez serca, uśmiercając kłamstwem moją matkę. Leonora porzuciła ciebie – powiedział w nagłym przyпадzie olśnienia.

– O to chodziło, prawda?

– Nonsens! A zresztą... Uwielbiałem ją! – wybuchnął. – Była moim przeciwieństwem – twórcza, namiętna i wolna jak ptak. I taka piękna, z czarnymi długimi włosami, jej oczy miały kolor oceanu. Chciałem, żeby była moja, tylko moja.

– Ale ona nie chciała być twoją własnością. Bo zawsze była wolna.

Czy Julie nie była taka sama? Zdał sobie z tego sprawę w następnym przyпадzie olśnienia.

– Taniec, zawsze był ten jej taniec... – wychrypiał Charles. – Kiedy się urodziłaś, miała obsesję na punkcie figury, chciała natychmiast wrócić do formy i uparła się, że będzie brała lekcje w Bostonie. Nie powinienem był jej pozwolić...

– Uciekła by wcześniej.

– Strasznie się kłóciliśmy i kiedyś powiedziała, że już mnie nie kocha. – Charles zaśmiał się gorzko. – Ale ja, głupi, wciąż ją kochałem. Potem miałem jeszcze nadzieję, że bliźniaki zatrzymają ją w domu, ale stało się odwrotnie. Uciekła do Paryża, kiedy byłem w podróży. Zostałem po powrocie jej list. Zacząłem odchodzić od zmysłów. Dosłownie. Moja duma legła w gruzach. Drwili ze mnie wszyscy przyjaciele, moi współpracownicy, moi wrogowie. Ale najgorsze było to, że wciąż ją uwielbiałem. Nie mogłem pozwolić jej odejść, więc ją pogrzebałem. Udawałem, że umarła. Zagroziłem jej finansową i artystyczną ruiną, jeśli się kiedykolwiek pojawi w Stanach. Potem rozwiodłem się dyskretnie, a później poznałem Corinne. Która jest przeciwieństwem Leonory pod każdym względem.

– Wciąż kochasz Leonorę?

– Nie wiem. Chyba nie. Wydaje się, że to było tak dawno temu. Wiem, że nie powinienem był tego zrobić, Travis. Ale byłem jak opętany. A ty zapłaciłaś najwyższą cenę. Od lat czuję się winny... jeśli to może mieć dla ciebie jakieś znaczenie.

– Zawsze mnie odtrącałaś. Mnie i Jenesse.

– Nie wiesz dlaczego? Spójrz w lustro! Jesteś męską kopią swojej matki. A Jenessa jest artystką, ma taki charakter jak Leonora.

To miało jakiś sens.

– Nie ukradłem sygnetu.

– Brent się już przyznał. Zakopał go pod jabłonią.

Przepraszam, że cię podejrzewałem.

– Przeprosiny przyjęte. Cieszę się, że Brent wyrzucił to z siebie.

– Rozpuściłem go. To też moja wina.

Skruszony Charles obudził w Travisie współczucie i nawet odrobinę zrozumienia.

– W niedzielę miałem ożenić się z Julie, ale uciekła... nie wiem dokąd.

– Historia się powtarza, Travis. Nie popełnij takich samych błędów, jakie ja popełniłem. Odłóż na bok dumę, powiedz, że ją kochasz, i pozwól jej być sobą.

– Znajdę ją. Muszę ją znaleźć – powiedział z bladym uśmiechem.

– Powodzenia, synu. – Charles klepnął Trávisa w ramię. – Odwiedzaj nas, kiedy tylko zechcesz.

– Dzięki, tato.

Travis pożegnał się z ojcem i z Oliverem i pojechał odebrać z lotniska swojego drużbę Bryce'a.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Bryce z trudem namówił Trávisa, żeby spędzili jeden dzień w jego domu letnim nad oceanem.

– Przywiozłeś mnie tu po to, żeby puścić farbę?

– Właśnie. Powiesz mi w końcu, o co w tym wszystkim chodzi?

Ociągając się, Travis opowiedział przyjacielowi całą historię, skończywszy na tym, że Julie jest w ciąży i że od niego uciekła.

Bryce dopił swoje piwo, kręcąc głową.

– No, no, widzę, że jesteś zakochany po uszy.

– Jesteś trzecią osobą, która mi to mówi – powiedział zimno Travis. – Nie wiem, dlaczego wszyscy się uparli, żeby analizować moje uczucia.

– Jeśli jej nie kochasz, dlaczego wyglądasz jak zbity pies? Chociaż... jeśli ją kochasz, nie rozumiem, dlaczego siedzisz na mojej werandzie, zamiast jej szukać.

– Prosiła, żebym tego nie robił.

– Stary, przestań ściemniać. Fakty są takie: po pierwsze, kochasz Julie, po drugie, dostajesz świra, siedząc beczynn timer i czekając, aż ona wróci do Portland. Po trzecie, dobry prywatny detektyw znalazłby ją bez trudu. Po czwarte, przyleciałem tu z Australii, żeby być drużbą na twoim ślubie i nie chciałbym zmieniać planów. Ale do ślubu potrzebna jest panna młoda.

– Zatrzymajmy się przy fackie numer trzy. Nie

rozumiesz, że jeśli ją tu ściągnę na siłę i zawlokę do ołtarza, ona nie powie: „Tak, chcę”? I za to ją między innymi kocham.

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu. Travis schował twarz w dłoniach.

– Jasne, że kocham.

– Ona wróci, stary. Musi.

– Albo ty sam się o to postarasz? – mruknął kpiąco Travis. – Jutro rano ruszam na południe wzdłuż wybrzeża. Nie wytrzymam dłużej tego czekania.

W niedzielę wieczorem Julie nie wpatrywała się bezczynnie w horyzont. Od czterech godzin oglądała telewizję. Sitcomy, reportaże, pokazy kulinarne. Następne miały być wiadomości i prognoza pogody.

Leżała w wielkim wygodnym łóżu z jedwabną haftowaną pościelą. Kosztował ją ten luksus fortuny, ale jeśli już musiała być nieszczęśliwa, mogła przynajmniej cierpieć w dobrym stylu.

Dalej nie wiedziała, co robić. Od piątku, kiedy dotarła do New Hampshire i znalazła ten hotel, nie wymyśliła nic mądrego. Czy poczucie nieszczęścia i pustki mogło być miarą miłości? Jeśli tak, to była w poważnych tarapatach.

Wstała z łóżka i zaczęła krążyć nerwowo po pokoju. Uciekając przed Travisem, mówiła swojemu nienarodzonemu dziecku, że jedno z rodziców wystarczy mu do szczęścia. Czy naprawdę? Czy nie pozbawiała go tego, do czego każde dziecko ma prawo? Dwojga kochających rodziców i bezpiecznego, szczęśliwego domu.

Czy rodzice skorzystali z jej rady? Czy Leonora miała rację, mówiąc, że Julie i Travis są dla siebie stworzeni?

Zaczęły się wiadomości.

Julie wskoczyła do łóżka, oglądając z zainteresowaniem migawki z Tanzanii. Po doniesieniach ze świata były notowania giełdowe, a potem wiadomości lokalne. W pierwszej części podano informację o straszliwym karambolu na autostradzie, kilkanaście kilometrów na północ od New Hampshire. Julie wzdrygnęła się po pierwszych ujęciach; wielu z jej pacjentów w klinice było ofiarami wypadków samochodowych.

Nagle kamera najechała na jeden z samochodów. Panika chwyciła ją za gardło.

Czarne sportowe auto, które wyglądało jak porsche Travisa, zmiażdżone między barierką a wrakiem przy czepie kempingowej...

Nie widać było kierowcy. Po chwili dwie karetki odjechały na sygnale. To nie mógł być Travis. Nie mógł. A jeśli był w drodze do niej?

Z krzykiem przerażenia chwyciła ze stolika książkę telefoniczną. Znalazła numer szpitala i po pięciu kosztownych minutach czekania na połączenie z informacją dowiedziała się, że szpital może podać nazwisko ofiary tylko najbliższej rodzinie.

Policja, pomyślała w odruchu rozpacz. Recepcjonistka połączyła ją z jakimś Ellisonem.

– W karambolu na autostradzie był czarny sportowy samochód – próbowała mówić wyraźnie i spokojnie.
– Jedyne, co chcę wiedzieć, to czy nazwisko kierowcy brzmi Strathern. Travis Strathern. Jestem jego narzeczoną.

– Proszę chwilę zaczekać... Nie mogę podać nazwiska kierowcy. Ale zapewniam, że nie był to Strathern... Czy słyszy mnie pani?

– Tak. Bardzo panu dziękuję.

Odłożyła słuchawkę, zalewając się łzami. To nie był Travis. Modląc się w duchu za nieznanego kierowcę, wyłączyła telewizor i wyskoczyła z łóżka.

Kręciło jej się w głowie. Nie przeżyłaby, gdyby Travis umarł.

Kochała go i życie bez niego nie miałoby sensu.

Kochała go i nosiła jego dziecko. Mogła wrócić jutro do domu i wyjść za niego za męża. Chwyciła telefon, ale kiedy wystukała jego numer, usłyszała tylko głos nagrany na sekretarkę. Proszę zostawić wiadomość... Odłożyła słuchawkę. Później, pomyślała.

Ale o północy Trávisa wciąż nie było w domu.

Piętnaście po drugiej, w dzień, który miał być początkiem ich miodowego miesiąca, Travis zatrzymał się przy jakimś barze na lunch. Dojechał do granicy New Hampshire, w drodze powrotnej zrobił sobie przerwę na spacer po plaży i teraz był głodny.

Bar był zatłoczony. Znalazł stolik obok rodziny z dziećmi, złożył zamówienie i wyjął gazetę ze zdjęciem karambolu w New Hampshire na pierwszej stronie. Poprzedniego wieczoru, zdrętwiały ze strachu, sprawdził, czy wśród ofiar nie ma Julie. Próbował się skoncentrować na lekturze, ale dziecko przy sąsiednim stoliku trenowało płuca, przekrzykując muzykę. Zerknął na ojca dziecka, który wyjął je z nosidełka i przytulił do piersi. Wrzask ustał. Z drżącą jeszcze wargą dziecko obdarzyło ojca szerokim bezzębnym uśmiechem.

Właśnie tego chciał. Chciał być ojcem i mężem. Mę-

zem Julie. Julie, którą kochał bardziej, niż sądził, że jest do tego zdolny.

Jasne, zakpił w duchu. To jedyne, czego chcesz. Tylko nieba i wszystkich gwiazd.

Jakoś musiał ją odzyskać. Od tego zależało jego życie.

Hamburger był doskonały, kawa również. Przepychając się między zatłoczonymi stolikami do kasy, spojrział na wchodzącą do baru kobietę. Dzieliło ich kilka metrów. Travis zakrztusił się powietrzem.

Była w tej samej kwiecistej sukience, w której zobaczył ją po raz pierwszy.

– Julie... – wydusił.

Podniosła głowę i zobaczyła go. Na moment skamieniała. A potem potknęła się na schodach. Nim zdążyła chwycić za poręcz, rzucił się do niej i pochwycił ją w ramiona.

– Julie, kochanie, nic ci się nie stało?

Objęła go mocno za szyję.

– Och, Travis. Tak się cieszę... Kocham cię... Co ty tu robisz? Szukałeś mnie? Wracam do domu. Wyjechałabym wczoraj, ale było strasznie późno. Cieszysz się, że mnie widzisz?

Wybuchnął śmiechem, chowając twarz w jej włosach i wdychając znajomy słodki zapach, za którym tak strasznie tęsknił.

– Czy powiedziałaś to, co mi się zdawało?

– Powiedziałam dużo rzeczy.

– Pytam o najważniejszą. Że mnie kochasz.

– Tak. Chcesz, żebym to powtórzyła?

– Chcę. Żeby mieć pewność, że nie śnię.

– Nie śnisz. Nawet nie wiesz, jak za tobą tęskniłam.

Przepraszam, że uciekłam. Zdałam sobie później sprawę, że Leonora też uciekła i porzuciła cię – nie powinnam była tego zrobić. Ale byłam tak strasznie skołowana i nieszczęśliwa.

– Julie – powiedział władczym tonem – czy ty mnie kochasz?

– Tak, Travis. Kocham cię.

– Dzięki Bogu. – Pochylił głowę i pocałował ją.

Jakiś kilkunastoletni chłopak zagwizdał na palcach i w całym barze rozległy się kaskady śmiechu.

– Mamy publiczność.

– Wyjdiesz za mnie?

– To nie jest najbardziej romantyczna sceneria – powiedziała z uśmiechem.

Rozejrzał się wokół; niektórzy goście przyglądali im się z zaciekawieniem. Sięgnął do najbliższego stolika, wyjął z wazonu bukiet sztucznych kwiatów i wręczył je Julie teatralnym gestem. Potem podniósł do ust jej wolną rękę i patrząc zmysłowo w oczy, ucałował jej palce, jeden po drugim.

– Najukochańsza Julie, kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić słowami. Byłem kompletnym osłem, i nie dziwię się, że uciekaś. Jeśli za mnie wyjdiesz, będę szczęśliwszy, niż na to zasługuję, i przysięgam, że zrobię wszystko, żebyś i ty była szczęśliwa.

– Tak. Wyjdę za ciebie – powiedziała krótko i pocałowała go w usta.

W barze zerwała się burza oklasków.

– Najpóźniej w czwartek? – spytał Travis. – W piątek Bryce musi lecieć do Hongkongu.

– Może być jutro, jeśli chcesz.

– Wolałbym za pięć minut. – Patrząc jej głęboko w oczy, powiedział ściszym głosem: – Jesteś moją miłością. Po twoim zniknięciu Leonora, Charles i Bryce przekonywali mnie, że jestem w tobie zakochany. Ale ja ostatni to zrozumiałem. Przepraszam cię za to.

– Wybaczam. Ja też się długo opierałam. – Opowiedziała mu w skrócie o telefonach do szpitala i na policję. – Dopiero to wydarzenie przywróciło mi rozum. Ale nie było cię wieczorem w domu i nie mogłam ci powiedzieć od razu...

– Byłem w domu letniskowym Bryce'a. Tęskniąc przez cały dzień jak wariat i wspominając wszystko, co tam robiliśmy.

– Wszystko? – spytała niewinnie. – Och, Travis, nie mogę uwierzyć w swoje szczęście.

– Wracajmy do domu. Twojego albo mojego, wszystko jedno.

– Prawdę mówiąc, zatrzymałam się tu, bo jestem głodna. Jem za dwoje, pamiętasz?

– Możesz zamówić coś na wynos, będzie szybciej.

Następnego popołudnia, na dziedzińcu kościoła Świętej Małgorzaty, zebrali się nowożeńcy i ich goście. Panna młoda, w prostej białej sukni, trzymała wiązanek orchidei i wyglądała tak promiennie, jak powinna wyglądać panna młoda. Jej mąż, w wytwornym jasnym smokingu, stał u jej boku. Ceremonia była prosta, słowa podniosłe i głębokie.

Charles, również w jasnym smokingu, przedstawił już Corinne Leonorze; we trójkę prowadzili bardzo ożywioną rozmowę. Julie przywołała skinieniem swoich rodziców.

– Ślicznie wyglądasz, mamó – powiedziała szczerze.

Thomas, nadspodziewanie elegancki, ujął Pearl pod ramię i powiedział z galanterią:

– Jesteś piękną panną młodą, Julie. Twoje zdjęcie ślubne będzie stało na półce w salonie obok naszego. Oprawiliśmy je w nowe ramki, wiesz?

Julie uściśnęła ojca i pocałowała matkę.

– Oboje chcemy ci podziękować – powiedziała z przejęciem matka. – To, co nam powiedziałaś, było takim szokiem, że oboje przejrzelśmy na oczy. Julie, to, jak się zachowywaliśmy, nigdy nie było twoją winą... – Zawahała się na moment. – Widzisz, ja zawsze chciałam mieć czworo albo pięcioro dzieci, ale Thomas chciał tylko jedno, więc cały czas byłam na niego zła. Dopiero po latach dowiedziałam się, że i tak nie mogłabym mieć więcej dzieci.

– Niepotrzebnie byłem taki zawzięty – mruknął Thomas.

– Och, Thomas, ja też. – Pearl uśmiechnęła się nieśmiało do córki. – Czuję się, jakbyśmy sprzątnęli razem dom i wyrzucili wszystkie śmieci. To cudowne uczucie.

Julie dławiała łzy.

– Oboje jesteście bardzo odważni... jestem z was taka dumna. Chodźcie, przedstawię was rodzicom Trvisa.

Bryce rozmawiał o żeglarskim z Brentem, który zachowywał się najswobodniej na świecie, jakby nie miał żadnych powodów czuć się nieswojo. Oni też przyłączyli się do reszty. Kiedy rozmowa stała się bardziej ogólna i wszyscy powoli ruszyli do bramy, Bryce zwrócił się do Julie.

– Cieszę się, że mogłem cię poznać, Julie, i być na waszym ślubie. Jestem pewien, że Travis będzie z tobą szczęśliwy.

– Jesteś jego prawdziwym przyjacielem – powiedziała z uśmiechem.

– Wiele mu zawdzięczam – skończyłbym na ulicy, gdyby nie on.

– Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć.

– Zgoda. Nie wiesz, dlaczego siostra Trvisa nie przyjechała na ślub?

– Jenessa? Nie bardzo. Wiem, że ona nie utrzymuje żadnych kontaktów z Charlesem. Ale miałam nadzieję, że się zjawi... Mieszka całkiem niedaleko.

– To podłe z jej strony – powiedział lekkim tonem. – Dobrze, że Kathy, twoja drużna, jest mężatką, przynajmniej nikt nie będzie mnie swatał na przyjęciu.

– Uważaj – zaśmiała się – Travis też był zaprzysiężonym kawalerem.

– Spokojna głowa, nie urodziła się jeszcze kobieta, która zaciągnęłaby mnie do ołtarza.

– To samo mówiłem o sobie. – Travis uśmiechnął się do Julie z taką miłością w oczach, że miała ochotę utonąć w jego ramionach. – Dobrze się czujesz, kochanie?

– Oboje czujemy się świetnie.

– W takim razie jedziemy na przyjęcie. Nasze rodziny przechodzą same siebie – zasłużyły na najlepszego szampana.

Gdy Bryce oddalił się dyskretnie, Julie nagle spoważniała.

– Travis, czy kiedy skończy się twój kontrakt w Meksyku, pomyślałbyś o tym, żeby osiąść na jakiś czas w Maine? Mielibyśmy bliżej wszystkich dziadków.

– Mnie też to przyszło do głowy. – Musnął pocałun-

kiem jej policzek. – Ale zastanawiałem się, czy ty będziesz gotowa zrezygnować ze swoich podróży.

– Dom jest tam, gdzie ty jesteś.

– Leonora chce uczyć tańca w Bostonie albo w Nowym Jorku. Powiedziała mi to dzisiaj.

– Więc mielibyśmy blisko ich wszystkich.

– I moglibyśmy zbudować dom na Bear Island. Chcę, żeby nasze dzieci miały latem taką swobodę jak ja kiedyś.

– Dzieci? Nie rozpędziłeś się trochę?

– Wątpię, czy wystarczy nam jedno.

– Pewnie masz rację. Travis, to wszystko brzmi cudownie, i jestem nieprawdopodobnie szczęśliwa. Kocham cię.

– Kilka minut temu podziękowałem Brentowi za to, że nas ze sobą poznał. Zniósł to po męsku.

– To było niezbyt miłe z twojej strony. – Parsknęła śmiechem. – Chodźmy, im szybciej dotrzemy na to przyjęcie, tym szybciej się skończy i zostaniemy sami...
